

ŁÓDZKA SZOPKA KULTURALNA

W CO SIE BAWIĆ?
REPORTAŻ Z HISZPANII
OPOWIADANIA ŻARTOBLIWE

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 2 - 996
9 STYCZNIA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



GOSPODARKA - NAUKA

KRZYSZTOF POGORZELEC

KIEDY PRZYJDZIE ROBOT

KIEDY, CZY DOJDZIE DO TEGO, ŻE ZASTĄPIĄ NAS — LUDZI, ROBOTY? NONSENS — POWIADACIE... OTÓŻ, PYTANIE W TAKI SPOSOB SFORMULOWANE NALEŻY NAJWYCIĄJNIEJ WYKRESLIĆ Z PAKIETU FUTUROLOGICZNYCH ZAGADEK, KTÓRE — NIEKIEDY WBRĘW RZEKOMO „ŻELAZNYM TEORIOM” — STAJĄ SIĘ NAJWYCIĄJNIEJSZĄ PROZĄ NASZEGO ŻYCIA, JAK BUEKA NA ŚNIADANIE. A ROBOTY? SĄ JUŻ WŚRÓD NAS: W ROKU 1973 — TAKIMI DANymi DYSPONUJEMY — W ŚWIATOWYM PRZEMYŚLE PRACOWAŁO 2600 ROBOTÓW, Z TEGO W STANACH ZJEDNOCZONYCH OKOŁO 1500, W JAPONII — 800. A W „STAREJ” EUROPIE — NIESPEŁNA 300. CZY JEDNAK MOŻNA JUŻ MÓWIĆ ŻE WKROCZYLIŚMY W „ERĘ ROBOTÓW”?

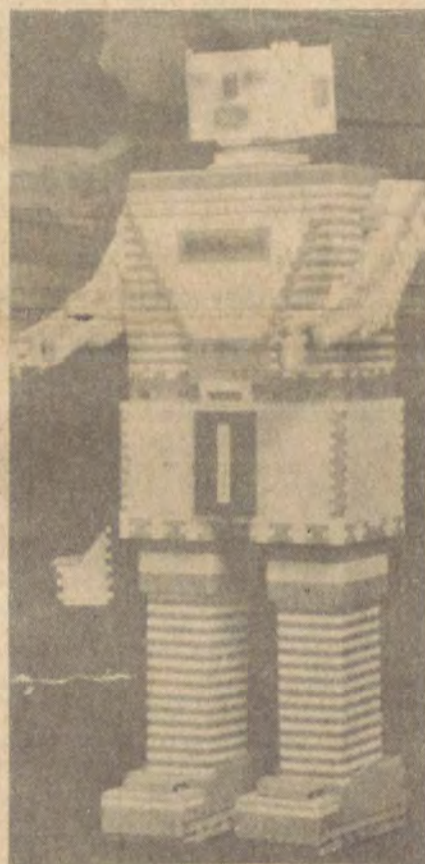
CO JEST CO?

A teraz jeszcze jedno pytanie: co to jest robot? (używam tej bezosobowej formy, bowiem chyba nie wypada w stosunku do „shumanizowanej” maszyny, mechanizmu, stawiać pytanie — kto jest kto?)

Więc — według jednej z licznych naukowych definicji odnoszącej się

wprawdzie, tylko do „robotów w przemyśle”, ale te nas najbardziej interesują — jest to „urządzenie do automatycznej manipulacji z możliwością wykonywania programowanych ruchów względem kilku osi, zaopatrzone w chwytaki lub narzędzia, skonstruowane specjalnie z myślą o za-

Dalszy ciąg na str. 3



PIŁKA NOŻNA (7)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KWADRANS ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY

Było pięknie, ciepło, niemal bezwietrznie. Słońce odmieniło domy i drzewa, przydał im prawdziwie wiosennych barw — to co szare, zrobiło się złote, zieleni buchnęła ze skwerów i trawników; wymięci długi trawa chlapi ludzie tłumnie wylegali z miejsc, żeby poprobować spacerów — dziewczyny w letnich sukienkach chłopczy w dżinsach i kolorowych koszulkach, dużo młodych małżeństw, które popychały przed sobą wózki albo prowadziły za ręce świątecznie ubrane

Dalszy ciąg na str. 6.

PROBLEMY

RYSZARD BINKOWSKI

OŻENIEK GMINNY

Siódmego lipca 1976 roku po strawieniu dziesiątków godzin na swataniu i roztrząsaniu licznych problemów natury przyszłościowej za zgodą obu stron nastąpiły uroczyste zaślubiny Gminy Ksawerów z gminą Pabianice. Meżem były chyba Pabianice, ponieważ nowy organizm nosi to właśnie imię. Nowożeńcy wnieśli posag, z którego powstało pokaźne gospodarstwo: 11,694 ha gruntów, w tym 9,289 ha użytków rolnych, i 26 sołectw, w których żyje i pracuje 17,860 osób.

Połączenie gminnych rad narodowych oznaczało integrację terytorialną i w ten sposób narodziła się gmina szczególnie okalająca zwartym pierścieniem miasto, z którym żyje w symbiozie.

Czy było to małżeństwo z miłości czy też z rozsądku, jak ożenek wyszedł obłubieńcom na zdrowie, co kto z tego ma, zostanie powiedziane.

1.

GINA KSAWERÓW była mała, około 2,5 tys. ha, ale bogata: dziesiątki prywatnych ogrodników, spółdzielnia produkcyjna w Ksawerowie i kombinat szklarniowy w Widzewie to pod-

Dalszy ciąg na str. 5

Korespondencja z Moskwy

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

TRZECI POLSKI

W bogatym życiu kulturalnym Moskwy, która oszołomionemu przybyszowi składa mnóstwo różnorodnych ofert trudnych do zlekceważenia, miejsce wyjątkowe zajmuje teatr. Teatr jest tutaj sztuką w zbiorowym odczuciu najistotniejszą, budzącą najżywszy prąd emocji. Widać to już na ulicy przed teatrem, gdzie szczęśliwego posiadacza biletu nagabują niepoprawni optymiści z taką nadzieją we wzroku, jak gdyby od spędzenia tego wieczoru w teatrze wszystko w ich życiu zależało. Bilet teatralny jest tutaj szczęśliwym losiem na loterii.

Oczywiście są różne bilety do różnych teatrów i tak np. legendarny Teatr na Tagance jest jedynie obiektem marzeń dla wielu moskwičan, którym jeszcze nigdy nie udało się tam dostać. Podobnie — według innych kryteriów mierzony — Teatr Wielki. Ta teatralna gorączka objawia się najwyraźniej w pięknym obyczaju: po spektaklu, kiedy trwają w nieskończoność kaskady braw pojedynczy widzowie wbiegają na prosceum z kwiatami, ściskają ręce aktorom i dziękują za przeżycia.

TRZECI

Piszę o tym dlatego, że trudno wyobrazić sobie większe uznanie złożone przez tutejszą publiczność polskiej kulturze jak właśnie to, wyrażone w teatralnej sali. Teatr, który staje się dzięki temu najbardziej prawdziwą arką przymierza między narodami, dla których sztuka ta zawsze stała na najwyższym piedestale kultury.

Okazją do olbrzymiej manifestacji uczuć dla teatru polskiego stał się III Festiwal Polskiej Dramaturgii w ZSRR, który odbył się w listopadzie ubiegłego roku. Organizacja podobnych festiwali kultury krajów socjalistycznych jest już tradycją życia artystycznego Związku Radzieckiego, lecz ostatni polski festiwal teatralny miał największe rozmach organizacyjny, był najgoręcej przyjęty i wzbudził największe uznanie. Wystarczy przywołać świadectwo cyfr i wspomnieć, że aż 122 teatry wszystkich republik radzieckich wystawiły w tym okresie 52 sztuki polskich autorów. Szczególnego znaczenia imprezie dodawała obecność wielu polskich reżyserów, scenografów i kompozytorów, którzy inscenizowali sztuki polskie w radzieckich teatrach. I tak August Kowalczyk reżyserował „Lato w Nohant” Jarosława Iwaszkiewicza w moskiewskim Teatrze im. Wachtangowa. Jerzy Jaroński „Bal manekinów” Brunona Jasieńskiego w teatrze czelabińskim (scenografia E. Kowarskiego, muzyka A. Killana), Wojciech Siemion „Na szkle malowane” Ernesta Brylla w teatrze w Kownie, Janusz Nyczak „A jak królem, a jak katem będziesz” wg Tadeusza Nowaka w teatrze w Kazaniu Izabella Cywińska „Ich czworo” Gabrieli Zapolskiej w teatrze baszkirskim (scenografia Z. Wierchowicz), Jerzy Krasowski „Krakowiaków i górali” Wojciecha Bogusławskiego (scenografia W. Krakowskiego) — by wymienić nie wszystkich. Wśród tych 52 sztuk największym powodzeniem cie-

zył się repertuar klasyczny polskiej sceny: Zapolska, Fredro, Słowacki, Kruczkowski, ale także: Grochowski, Chociński, Bryll, Stawiński i Jurandot.

DWA TEATRY

Kulminacją Festiwalu był Tydzień Dramaturgii Polskiej (12-19 XI 1976), który w Moskwie otworzyła premiera „Lata w Nohant” w Teatrze im. Wachtangowa. Reżyserem spektaklu był August Kowalczyk, dyrektor warszawskiego Teatru Polskiego. Reżyserki występ Kowalczyka w Moskwie, nie był przypadkowy. Oba teatry były trwającą od lat współpracą i wymiana artystycznych doświadczeń. W Teatrze Polskim główny reżyser i dyrektor Wachtangowców, Jewgienij Simonow wyreżyserował „Antoniusza i Kleopatry” Szekspira, w którym to przedstawieniu wystąpiła za kilka tygodni na scenie Polskiego Julia Borysowa i Michał Ulanow, odtwórcy tytułowych ról w moskiewskiej inscenizacji „Antoniusza i Kleopatry”. Będzie to rewanż za występ w moskiewskim przedstawieniu Krystyny Królówny i Augusty Kowalczyka, którzy występują w tych rolach w Warszawie.

Premiera „Lata w Nohant”, które zebrało bardzo pochlebne recenzje tutejszej prasy teatralnej była połączone z wystawą ilustrującą dzieje przyjaźni obu teatrów oraz z prezentacją polskiego plakatu teatralnego. Przyjaźń ta jest najbardziej konkretnym dowodem więzów współpracy łączącej teatry obu krajów.

JERZY GROTOWSKI W MOSKWIE

Możliwością rozszerzenia teatralnego sojuszu znalezienia nowych dróg dla wspólnych doświadczeń, pogłębie-

Dalszy ciąg na str. 5

JAN POWAŁA

DEMONSTRACJA

ZBROJEŃ

Rosnąć bez przerwy liczba państw podejmujących coraz intensywniejsze starania o zahamowanie zbrojeń, o utrwalenie pokoju, bezpieczeństwa i współpracy. Inicjatywy państw socjalistycznych w tej dziedzinie znajdują coraz więcej uznania na forum międzynarodowym, coraz więcej zwolenników i naśladowców. Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie stworzyła sprzyjający klimat do podjęcia rokowań w sprawie rozbrojenia, do walki o zahamowanie zbrojeń i uzupełnienie odprężenia politycznego odprężeniem militarnym.

Ala kraj przeciwników odprężenia i zwolenników w wysiłku zbrojeń jest wystarczająco szeroki, a ich arsenal ideologiczny nader urozmaicony. Siła napędowa wysiłku zbrojeń jest agresywna natura imperializmu, jego zamiary powrotu do polityki „zimnej wojny”, militarizm, zachłanność kompleksów wojskowo-przemysłowych i międzynarodowych korporacji, neofaszyzm, rasizm i neokolonializm. Najbardziej charakterystyczne przykłady działania w tym zakresie znajdujemy zarówno w działalności Paku Północnoatlantyckiego, jak też w poczynaniach kompleksu wojskowo-przemysłowego USA. Tam obserwujemy nasilenie wysiłku zbrojeń i —

co się z tym nierozdzielnie wiąże — nieustanne zwiększanie budżetów wojskowych, przewrotne określanie mianem „obronnych”.

Suma wydatków na cele wojskowe państw NATO zwiększyła się z 18 mld dolarów w roku 1949 do 170 mld dolarów w roku 1976. Ogółem w latach 1949-1975 bezpośrednie wydatki na cele wojskowe tego bloku przekroczyły 2 tryliony dolarów.

Spółród wszystkich państw Paku Północnoatlantyckiego największe sumy na zbrojenia przeznaczają Stany Zjednoczone. Budżet wojskowy Stanów Zjednoczonych w bieżącym roku finansowym przekroczył 112,3 mld dolarów, co stanowi sumę bez precedensu w pokojowych warunkach. Przyczyną uchwalenia rekordowego w całej historii USA budżetu wojskowego należy szukać w coraz ściślejzych powiązaniach między krajowymi kołami militarystycznymi, największymi bankami oraz takimi gałęziami przemysłu, jak kosmiczny, atomowy, radioelektroniczny, stoczniowy i chemiczny, które są zainteresowane w otrzyskiwaniu korzystnych kontraktów od Pentagonu.

W Stanach Zjednoczonych obrzymi zasięg przybrała kampania propagandowa, organizowana przez Pentagon i cały kom-

pleks wojskowo-przemysłowy, które nauczyły się grać na odzicach społeczeństwa i wpaść mu przekonanie, że zwiększenie wydatków wojskowych jest dla USA sprawą żywotnej wagi. Już obecnie owe militarystyczne koła chcą przyzwycząić obywateli do myśli, że pod koniec lat siedemdziesiątych budżet Pentagonu trzeba będzie zwiększyć do 150 mld dolarów.

Czynnikami stymulującym wysiłek zbrojeń jest handel bronią. Stany Zjednoczone są największym na świecie eksporterem broni. Od połowy roku 1971 do połowy 1975 sprzedały one 71 krajom sprzęt wojskowy i wykonały usługi za sumę przewyższającą 10,5 mld dolarów. Od lipca 1975 r. do czerwca 1976 r. eksport broni z USA przynosił według wstępnych ocen sumę 12 mld dolarów. Stany Zjednoczone sprzedają za granicę więcej broni niż wszystkie pozostałe kraje razem wzięte. W wielu rejonach świata, jak np. w Ameryce Łacińskiej USA nie tylko się na tym bogacą, lecz także umacniają reakcyjne reżimy wojskowe oraz wywołują stany napięcia w stosunkach między państwami.

Obrzymie sumy pieniężne przeznaczone są w państwach NATO na produkcję nowych rodzajów uzbrojenia. Według cen z roku 1974 jedno tylko działo 155 mm kosztowało podatników amerykańskich i zachodnioeuropejskich około 150 tys. dolarów. Na każdy czolg trzeba było wydać około czterech milionów dolarów. Samolot bojowy kosztował aż 8 mln dolarów, a lotniskowiec bez mała miliard. Stąd owe miliardowe liczby budżetów wojskowych państw NATO. Te same liczby dla akcjonariuszy wielkich koncernów zbrojeniowych wyrażają rosnące zyski tych koncernów, rosnące dywidendy oraz dochody właścicieli wielkiego kapitału.

Wysokie sumy przeznaczone na zbrojenia pochodzą od podatników, ogromne większość obywateli zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i państw Europy zachodniej. Na każdego obywatela amerykańskiego — bez względu na wiek i płeć — przypada rocznie 432 dolary, wydawane z funduszy podatkowych na finansowanie zbrojeń. W Republice Federalnej Niemiec na każdego obywatela przypada 660 marek rocznie, wydawanych na zbrojenia. Akcjonariusze i dyrektorzy wielkich koncernów zbrojeniowych mają swój konkretny interes w

nakręcaniu koniunktury zbrojeniowej, w zwiększaniu zamówień, w rozbudowie machiny wojennej. Siły zainteresowane w zbrojeniach dysponują decydującymi wpływami w aparacie państwowo-biurokratycznym i w aparacie urabiania opinii publicznej.

W amerykańskiej prasie i literaturze naukowej można znaleźć opinie, że możliwe jest wyprodukowanie broni jądrowej o sile rzędu 1000 megaton, tzn. 1 miliarda ton trójtrotoluolu. W USA uważa się za zupełnie realną możliwość stworzenia tzw. „broni genowej”, broni porażającej układ nerwowy, opartej na fizycznych, chemicznych i innych sposobach oddziaływania na psychikę ludzką, broni geofizycznej mogącej oddziaływać na środowisko naturalne w celach militarnych.

Tendencje do ciągłego zwiększania wydatków na zbrojenia obserwujemy także w innych państwach Paku Północnoatlantyckiego. Nastąpił dalszy wzrost wydatków na zbrojenia w Republice Federalnej Niemiec. W 1976 r. na cele wojskowe przeznaczono tu 47,5 mld marek, co stanowi 28,5 proc. budżetu federalnego. Przykład Bawarii, w której rządzi partia Straussa — wykazuje, jak wysiłek zbrojeń łączy interesy kapitału monopolistycznego i reakcyjnych grupowań odwołowych.

Podobnie jak w USA i RFN, także w Wielkiej Brytanii kompleks wojskowo-przemysłowy zapewniał sobie silne wpływy na kształtowanie budżetu wojskowego. Wpływy te uwiadamiają się nieustannym wzrostem wydatków wojskowych. Budżet wojskowy W. Brytanii w roku 1971/72 przewidywał łączną kwotę 3392 mln funtów „sterlingów”. W roku budżetowym 1975/1976 osiągnął on kwotę 5265,1 mln funtów „sterlingów”, wykazując w ciągu 5 lat wzrost o 187,4 mln funtów.

Takie same tendencje obserwujemy również w innych państwach Paku Północnoatlantyckiego, które z roku na rok zwiększają wydatki na cele wojskowe. Rząd francuski podał do wiadomości, że w najbliższych latach zamierza zwiększyć wydatki na cele wojskowe w sto procent. Wobec swych obywateli tłumaczy to koniecznością zachowania „równowagi” w Europie.

Ważną przyczyną wzmożenia wysiłku zbrojeń jest stan napięcia, jaki państwa imperialistyczne utrzymują w różnych rejonach

świata. Ewidentnym tego przykładem jest wojownicza polityka Izraela, który mając poparcie imperializmu amerykańskiego sprzeciwia się wszelkim próbom osiągnięcia sprawiedliwego pokoju na Bliskim Wschodzie. Wojowniczość Izraela ma swe bezpośrednie źródło w wysiłku zbrojeń. Poczynając od 1973 r. wydatki na cele wojskowe wzrosły tu co roku przeciętnie o 1 mld dolarów i w roku 1976 osiągnęły sumę 6 mld dolarów. Izrael zajmuje drugie miejsce w świecie kapitalistycznym, jeśli chodzi o wysokość kosztów w przeliczeniu na jednego żołnierza, 25 proc. całej siły roboczej kraju związane jest z przemysłem zbrojeniowym.

Przeciwnicy odprężenia, zwolennicy wysiłku zbrojeń swoje stanowisko uzasadniają „zagrożeniem radzieckim”. Aby usprawiedliwić zwiększające się wydatki na cele wojskowe, zwolennicy wysiłku zbrojeń starają się przekonać światową opinię publiczną, że jest to „reakcja obronna” ponieważ Związek Radziecki zamierza ponosić „ekspertować rewolucję”. Nie jest to „argument” nowy. Przeciwnicy postępu zawsze starali się wy tłumaczyć każde zwycięstwo sił rewolucyjnych ingerencją zbrojną Związku Radzieckiego. „Argumentu” tego używano również wtedy, gdy chodziło o Kuba, Portugalie czy wreszcie o Angole. Mit o komunistycznym zagrożeniu wykorzystywany jest w celu zmontowania międzynarodowego bloku przeciwników odprężenia.

Państwa socjalistyczne są zdecydowane w dalszym ciągu prowadzić działalność zmierzającą do zahamowania wysiłku zbrojeń, do rozbrojenia i uzupełnienia odprężenia politycznego odprężeniem militarnym. Od rozwiązania problemu wojny i pokoju zależy przecież losy postępu społecznego na kuli ziemskiej. Polityka Związku Radzieckiego i innych państw socjalistycznych, nastawiona na umocnienie bezpieczeństwa zbrojowego, wywiera pozytywny wpływ na przebieg tego procesu. Jest ona coraz bardziej skuteczna, gdyż prowadzona jest z uwzględnieniem wszystkich interesów narodów, na gruncie zasad internacjonalizmu proletariackiego.

I. SIKIRYCKI
LAUREATEM

Niedawno w Moskwie zakończył się Międzynarodowy Zjazd Tłumaczy Literatury Radzieckiej. Miłym akcentem obrad było wręczenie Nagrody im. Maksyma Gorkiego znanemu łódzkiemu literatowi i tłumaczowi Igorowi Sikiryckiemu, która przyznawana jest przez

Nagrodę im. M. Gorkiego, Związek Pisarzy ZSRR, otrzymał po raz pierwszy polski tłumacz. Igor Sikirycki otrzymał ją za owocną działalność w zakresie przekładu klasycznej i współczesnej literatury narodów Związku Radzieckiego.

Warto wspomnieć, że laureat przebywał w Gruzji, gdzie zbierał materiały do przygotowywanej przez siebie „Antologii współczesnej poezji gruzińskiej”, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

Igor Sikirycki od 1945 r. mieszka w Łodzi. W ciągu minionego 30-lecia zgromadził bogaty dorobek pisarski, w którym każdy, bez względu na wiek, odnajdzie dla siebie coś wartościowego. Twórczość jego wysoko jest ceniona, czego dowodem nagrody: Ministra Kultury i Sztuki ZSRR w 1969 r. za przekłady poezji radzieckiej, miasta Łodzi w 1973 r. za całokształt pracy pisarskiej, Prezesa Rady Ministrów w 1976 r. za twórczość dla dzieci i młodzieży.

Igor Sikirycki kandyduje w naszym plebiscyście do zaszczytnego tytułu najpopularniejszego łodzianina roku.

NAGRODY PISM

W Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych wręczono doroczne nagrody PISM za najlepsze publikacje naukowe z dziedziny współczesnych stosunków międzynarodowych. Dwie równorzędne drugie nagrody (pierwszej nie przyznano) otrzymali: Zygmunt Rybicki za pracę pt. „Administracja gospodarcza europejskich krajów RWPG” i Edward Wójcik za pracę pt. „Konflikt blisko-wschodni — aspekty militarne”. Trzy równorzędne nagrody trzecie wręczono: Michałowi Dobraczyńskiemu — „Światowa ekspansja gospodarki japońskiej”, Adamowi Koseskiemu — „Bułgaria w polityce europejskiej 1944-48” i Witoldowi Morawskiemu — „Nowe społeczeństwo przemysłowe. Analiza i krytyka koncepcji”.

ZGUBA SPRZED
200 LAT

Pewien pastor z Bostonu odnalazł wśród starych dokumentów dwie strony zaginionego od 200 lat rękopisu „Deklaracji Niepodległości” Stanów Zjednoczonych. Papier i atrament użyty dla sporządzenia dokumentu zostaną poddane analizie chemicznej celem ustalenia, czy jest to rzeczywiście oryginał, który liczył pierwotnie 4 strony zredagowane głównie przez Thomasa Jeffersona. Dokument został 4 lipca 1776 roku zatwierdzony przez Kongres w Filadelfii, a w nocy z 4 na 5 lipca wydrukowany w tysiąc egzemplarzy w jednej z miejscowych drukarni i był koportowany jako ulotka na terenie Stanów jeszcze wówczas faktycznie kolonii brytyjskiej.

CIEKAWA
INICJATYWA

Andrzej Wajda przeprowadził w dniu 8 stycznia br. w obecności publiczności pierwszą z 27 prób do przygotowanego w Teatrze Starym im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie przedstawienia „Idioty” Dostojewskiego. Tak prowadzone próby staną się nowego rodzaju widowiskiem teatralnym. W głównych rolach występują Jan Nowicki i Jerzy Radziwiłowicz.

ŚWIAT

GORZKIE ŻALE
NATO „REVIEW“

Drukujemy poniżej fragmenty artykułu zamieszczonego w centralnym organie Ministerstwa Obrony Narodowej ZSRR „Krasnaja Zwiezda”, pisma płk H. Arzumanova.

„Czasopismo „NATO Review”, będące oficjalnym organem służby informacyjnej Paku Północnoatlantyckiego jest tubą kierowniczą kół bloku, nadaje ton całemu systemowi militarystycznej propagandy Współpraca z nim filary atlantyckiej wspólnoty. Tego roku na jego łamach zabierał głos: generalny sekretarz NATO, głównodowodzący zjednoczonych sił zbrojnych NATO w Europie, ministrowie obrony i ministrowie finansów szeregu krajów bloku, wielu wodzących pracowników sztabów oraz innych centralnych instytucji NATO.

Należy zwrócić uwagę, że w szeregu przypadków ton obecnej propagandy różni się nie raz bardzo wydatnie od tonu propagandy minionych lat. Wyraźnym tego dowodem jest uznanie — pod presją realiów — faktu, że zmiana sił na arenie światowej odbyła się nie na korzyść imperializmu. „Dziś rozumiemy — czytamy w „NATO Review” — że USA uatracyli swoją rolę pozycję hegemonu (...). Zmiany w stosunku sił nie pozwalają im dalej na jednostronne dyktowanie swej woli i wywieranie wpływów na rozwój wydarzeń w skali globalnej”.

Pismo zamieszcza godną uwagi ocenę kryzysu ogarniającego świat kapitalistyczny. „Obecny kryzys społeczno-ekonomiczny — podkreśla się w artykule — stanowi zagrożenie dla systemu jako takiego, godzi w serce i duszę zachodnich społeczeństw uprzedmiotowionych”. Wzajemne stosunki między krajami wewnątrz sojuszu północnoatlantyckiego, jak podaje cytowane pismo, charakteryzuje potok słów na temat „wspólnych interesów” przy braku wzajemnego zaufania. „W 1976 roku — czytamy w „NATO Review” — temat europejskiej jedności stał się ostatecznie pośmiewiskiem”.

Przy tym wszystkim szczególny niepokój NATO-wców wzbudza zmniejszenie się wpływów ideologii burżuazyjnej na masę, wzrost autorytetu socjalizmu, coraz szersze rozpowszechnianie się idei marksizmu-leninizmu. „Na froncie ideologicznym — konstatuje z gorczyca „NATO Review” — staliśmy się bardzo bojaźliwi. Jeszcze 10 lat temu dobry demokratą uważał za rzecz oczywistą i swój godny obowiązek otwarte stwierdzenie, że jest antykomunistą. Dziś uważa się to za niestosowne i unika się takich wyznań. Ujawni się tylko antykomunista, a ci razu zaczynać się uważać za zwolennika odprężenia. Taka bojaźliwość prowadzi do klęski”.

Jak otwarcie przyznaje pismo, rozpowszechnianie się socjalizmu w świecie w ostatnim ćwierćwieczu „uosabia niezłomny postęp doktryny, polityki, idei bliskich milionom ludzi i tego pochodzą idej nie można powstrzymać ani bombami i pociskami, ani czołgami i artylerią”. „NATO Review” zauważa, iż „znaczna część współczesnej młodzieży znajduje się pod silnym wpływem nauki marksistowskiej”, „że wśród żołnierzy w uniformach NATO (...) kształtuje się przekonanie, iż przygotowuje się ich do obrony interesów demokracji i zachodnioeuropejskiej marki, podczas gdy przeciwnik stoi na straży praw prostych ludzi”.

Z tymi wszystkimi wyznania- mi nie wszyscy się nie zgodzić. Siedząc niewiary do polityki pokojowej Związku Radzieckiego, i innych krajów socjalistycznych, „NATO Review” próbuje poddać w wątpliwość zachodzący w Europie proces rozładowania napięcia, twierdzi, że gołosłownie, jakoby na kontynencie europejskim istniał tylko „pozwór odprężenia”, że jeśli dotąd nie udało się otworzyć na oścież drzwi bardziej pokojowym czasom, to „nie jest to wina sojuszu północnoatlantyckiego”.

Charakterystyczne jest to skojarzenie w NATO-wskiej propagandzie prawdy, półprawdy, prowokacyjnych aluzji i złośliwego oszczerstwa. Zmuszone do przyznania w obliczu faktów, że na przestrzeni całej historii NATO kraje członkowskie tego bloku ani razu nie były zagrożone napaścią ze strony ZSRR, pismo zaczyna żonglować takimi pojęciami, jak „zamierzenia” i „możliwość”. Związku Radzieckiego, próbuje je sobie sztucznie przeciwstawić. Należy uwzględnić nie zamierzenia ZSRR, już ze swojej natury pokojowe, a jedynie możliwości. „Nie mamy żadnych wątpliwości — czyta-

my w piśmie NATO — co do radzieckich możliwości (...). Powinniśmy pamiętać, że możliwości ZSRR stanowią dla nas zagrożenie”.

Dlatego też zachodniej prasie burżuazyjnej i innym środkom informacji „NATO Review” za leca całkowite potępienie istniejącego w ZSRR ustroju społecznego, wzorca życia. Jednocześnie uważa się za bardzo niepożądane kontynuowanie krytyki pod adresem USA, chociaż

przyznaje się, że „we współczesnej Europie antyamerykanizm uważa się za bardzo modne”.

Czasy się zmieniły. Siły reakcji, wojny i agresji nie dysponują już takimi możliwościami, jakie miały w przeszłości. Niemniej nie należy zapominać, że siły te nie rezygnują z prób zahamowania pozytywnych procesów zachodzących we współczesnym świecie”.

(I.C.)

KUPON

O wynikach plebiscytu i nagrodach za udział w konkursie poinformujemy naszych Czytelników w jednym z numerów marcowych.

Janusz Dunin	
Andrzej F. Grabski	
Tomasz Kiesewetter	
Grzegorz Królikiewicz	
Mieczysław Nowicki	
Urszula Płażewska	
Henryk Płociennik	
Jerzy Przybylski	
Igor Sikirycki	
Teresa Skoczylas	
Imię i nazwisko	
Adres	
Zawód	

Wypełnione kupony plebiscytowe prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji do 1 lutego 1977 roku w kopertach z dopiskiem „Łódzianie 1976”.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŚDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZLEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

KIEDY PRZYJDZIE ROBOT

Dalszy ciąg ze str. 1

stosowaniu w przemyśle". Takie ujęcie całej kwestii z miejsca sprowadza ją na ziemię, a współczesny człowiek przyzwyczajony nie tylko kontaktem ze skomplikowaną maszyną przemysłową, ale mechanizmami domowymi, takimi jak choćby lodówka z termostatem, magnetofon, telefon z przystawką samoczynnie odnotowującą pod nieobecność abonenta zgłaszających się rozmówców „z miasta”, bez większych kłopotów może sobie „coś takiego” wyobrazić.

Tak jest w tej chwili, kiedy wkroczyliśmy w drugą połowę lat 70-tych. Nie da się jednak ukryć, że jeszcze nie tak znowu dawno, bo ledwie u schyłku lat 50-tych, wypowiedziana wyżej opinia, tu i ówdzie, byłaby potraktowana za poważne naruszenie obowiązujących wtedy dogmatów, za herezję, jeśli nie coś grubo gorszego. Przechyliano się wtedy — i to też już było „coś” — że roboty to czysta fantazja, ich zastosowanie w przemyśle — wypływ dosyć wątpliwej kondycji dziedziny wiedzy — futurologii, że

fizyczna tego „czegoś”, co dziś określamy mianem robota, powinna znać komicie ułatwić rozprawienie się z jeszcze jednym stereotypem, wizerunkiem robota wykształconym w naszych umysłach przez liczne komedie, bądź też filmy pseudonaukowe i tyle samo fantastyczne.

Zgodzić się więc chyba, że w powszechnej wyobraźni znajduje się taki wizerunek robota: mechaniczne urządzenie uformowane z blachy, płataniny drutów, żarówek i czegoś tam jeszcze, ale zawsze „obleczone” w człowiecze kształty, a więc nie innego jak tylko makietę ludzką. No, cóż — nie bardziej błędnego. Współczesne roboty pracujące u Fiatu, Forda, w japońskich zakładach Toyota czy Mitubishi nie mają nic wspólnego z mechanicznymi lalkami, makietami nieudolnie udającymi człowieka. Tak — nie z tych rzeczy. Mamy bowiem do czynienia z niezmiennie skomplikowanymi rodzajami różnego typu wysięgników, uzbrojonych w chwytaki lub szczypce, a poruszających się po szynach, podwieszonych u pulapu hal fabrycznych, jeśli tego wymaga technologia produkcji.

chowując proporcje, można osiągnąć — i uzyskiwano go w wieku XVIII i XIX — „znaczenie” prostszym urządzeniem, czego dowodnym przykładem może być choćby... pozytywka, czy tzw. „mechaniczny gracz” w szachy. Niektórzy specjaliści zajmujący się kwestią praktycznego zastosowania robotów w przemyśle skłonni są dosyć bezceremonialnie traktować te mechanizmy, opatrzone pogardliwym mianem „mechanicznych idiotów”. No, cóż...

Po tym wszystkim, co zostało już tutaj napisane, muszę się — niestety — wycofać z pewnych stwierdzeń, zastrzegając się wprawdzie, iż jest to — co będzie dalej — jedna z hipotez, prognoz, nie mniej bliskich praktycznemu rozwiązaniu.

Owo rozumowanie można przedstawić w następujący sposób:

— na cały problem zastosowania i konstruowania robotów — głównie w procesach produkcji przemysłowej — trzeba patrzeć nie przez pryzmat techniki, którą dziś operuje człowiek, ale jak na zjawiska, ustalenia i osią-

ciami, to w takim razie jaką postać przybiorą lub już oblekają przedstawiciele tego „towarzystwa” generacji drugiej i trzeciej?

Prognozy są następujące: robotom drugiej generacji najprawdopodobniej przybędą „oczy” oraz specjalne czujniki, a elektroniczne „zmysły” umożliwią im rozróżnianie przedmiotów, określanie ich umiejscowienia. Kolejny szczebel rozwojowy — roboty trzeciej generacji, to pokonanie jeszcze jednej bariery również naszej wyobraźni, bowiem należy przypuszczać, że dojdzie do „uzbrojenia” ich w ośrodk... słuchu oraz — aż boję się to powiedzieć — „mózg” zdolny odbierać polecenia w postaci zbliżonej do mowy ludzkiej, analizować je, przetwarzać na czynności. Takie przynajmniej przewidywania snują japońscy naukowcy.

I co z tymi wróżbami teraz zrobić? Czy upoważniają nas one do rewizji poglądów ujętych dosyć syntetycznie określeniem „mechaniczny idiota” = robot, choćby najbardziej skomplikowany?

Sądzę, iż nie ma ku temu najmniejszych powodów. Jeśli nawet robot trzeciej generacji jest bliżej wizji podpowiadanej nam przez science fiction, to przecież nikt inny, lecz człowiek jest tym głównym czynnikiem sprawczym, a także dyspozycyjnym, to on wypowiada polecenia i rozkazy, choćby sakramentalne „wykonaj to”. I niech nikogo ta osobowa forma nie zmyli.

NIE TYLKO TECHNIKA

Proponuję byśmy jednak odeszli od problemów technicznych, dalszych losów kolejnych generacji robotów, co wcale nie znaczy, iż jest to równoznaczne z... powrotem na ziemię.

Choć — tak, bo i o tym, jeśli zaakceptowaliśmy obecność robotów wśród nas (przypominam — w roku 1973 było już ich 2600), warto i trzeba porozmawiać i to wcale nie z przyzwyczajeniem oka.

Trzeba tutaj zastrzec się: wprowadzenie do procesu produkcji przemysłowej robotów — nawet pierwszej generacji — wymaga olbrzymich środków materialnych, technicznych oraz finansowych i z tego wynika oczywiście prosty wniosek, iż na taką operację mogą sobie pozwolić jedynie kraje najbardziej rozwinięte, posiadające w swym „majątku” zakłady o skomplikowanych i równocześnie na masową skalę rozwiniętych procesach wytwórczych, zwłaszcza wiążących się z budową maszyn i ciężkich urządzeń produkcyjnych.

— Koszt „budowy” robota pierwszej generacji określa się na bardzo „rozciągliwą” kwotę: od 50 tys. do... 500 tys. dolarów. Takie właśnie roboty pracują w zakładach ASEA w Szwecji, koncernu japońskiego Kawasaki, a także w Wielkiej Brytanii, Włoszech, Kanadzie.

Można chyba zaryzykować stwierdzenie, iż wprowadzenie robotów do procesów przemysłowej produkcji wiąże się w oczywisty sposób z naturalnymi procesami humanizacji pracy, dążeniem do eliminacji człowieka z tych czynności, które z rozmaitych względów mogą być szkodliwe tak dla fizjologii, jak i psychiki człowieka. Można też — że powtórzę — założyć, że jest to wynik procesów demograficznych: występowanie, w wielu, głównie najbardziej rozwiniętych krajach, deficytu siły roboczej. Ale to tylko jedna strona zagadnienia. Jest bowiem jeszcze druga — wyrażająca się choćby zmniejszeniem się znaczenia prostych czynności wykonywanych obecnie przez ludzi o najniższych kwalifikacjach zawodowych i ogólnych. Jakże skutki może wywołać obecność robotów między ludźmi?

Nie wątpię, iż odpowiedź otrzymamy szybciej, aniżeli się tego spodziewamy, w krótszym czasie niż ten, który podsuwa nam nasza uwarunkowana różnicami czynnikami teoretycznymi wyobraźnia.

WRÓŻBY

Pytanie o istotnym znaczeniu: jeśli tak lekceważąco traktują już niektórzy fachowcy roboty pierwszej generacji, określając je lapidarnie staro-

MECHANICZNY IDIOTA

Faktem jest jednak, iż nawet takie „przewartościowanie” pojęcia robota nie tak znowu bardzo wiele zmienia, gdyż przydanie innych kształtów, zewnętrznej postaci, można zaklasyfikować do „zabiegu kosmetycznego”, dostosowania do praktycznych wymogów procesu produkcji odbywającej się w przemyśle, w fabrycznych halach. Czynności wykonywane przez tak skonstruowane urządzenie — czytaj: robota — są przewidziane, zaprogramowane przez człowieka i ograniczają się do wykonywania automatycznego, zawsze, w każdej okoliczności takiego samego, co zresztą wynika z funkcji tego rodzaju przemysłowych, ale przecież... nie myślących maszyn. Nie jest też istotne, że współczesne mechanizmy — roboty sterowane są przy pomocy zaprogramowanych kart perforacyjnych, bowiem w istocie ten sam cel, oczywiście za-

MURZYŃSKI RADYKALIZM

W książce Retta R. Ludwikowskiego „Murzyński radykalizm w USA” (Warszawa 1976) nie chodzi o radykalizm w rozumieniu europejskim. Terminem tym od dawna określano w Stanach Zjednoczonych te ruchy murzyńskie, które nie ograniczały swoich celów jedynie do walki o prawa obywatelskie i wysuwały dalej idące postulaty. Badacz zmierzał do określenia, „które z organizacji najczęściej określane były jako „radykalne” i jakie elementy doktryny pozwalały je łączyć pod wspólnym mianownikiem”. pomimo całego bogatego zróżnicowania. R. R. Ludwikowskiemu nie chodziło o historię, zwłaszcza dawniejszą. Śledził on do niej o tyle, o ile mogła mu ona być przydatna dla zrozumienia spraw dopiero co minionych i jeszcze aktualnych — współczesnych. Zajął się więc przede wszystkim przedstawieniem trzech głównych, uważanych za „radykalne” ugrupowań murzyńskich, mianowicie: Czarnych Muzułmanów (Black Muslims), Czarnej Władzy (Black Power) i Czarnych Panther (Black Panthers) na tle całokształtu ruchów murzyńskich. Nie koncentrował się na referowaniu zdarzeń: historyczno-narracyjna tkanka była dlań tworzywem dla rekonstrukcji światopoglądów i ideologii poszczególnych ugrupowań. Zadanie to było szczególnie trudne, skoro dążenia i zapędy poszczególnych ruchów rzadko były wypowiadane w sposób usystematyzowany, niejednokrotnie też ulegały najprzeróżniejszym zmianom.

Dla historyka myśli społecznej najwięcej materiału do przemyśleń nasuwa ta warstwa rozważań autora, która dotyczy zagadnień ideologicznych murzyńskiego radykalizmu. Czy i o ile, śledząc ideologie poszczególnych murzyńskich ruchów w Stanach Zjednoczonych, możemy snuć porównania ze znanymi nam z innych obszarów kulturowych procesami narodowotwórczymi? Pytania tego R. R. Ludwikowski nie stawia w pełni świadomy, że nie sposób byłoby starać się sprostać ruch murzyński jedynie do dążeń narodowościowych. Nie znaczy to jednak, aby nie było w nim również pewnych akcentów wyraźnie nacjonalistycznych. Badacz zwraca na nie zresztą pilną uwagę referując dzieło tak zwanego „garveizmu” — ruchu nacjonalistycznego z początków naszego stulecia głoszącego ideę „Pan — Murzyńskiego Narodu”, jak i stanowiącego bezpośrednią genealogię Czarnych Muzułmanów ruchu Maurów, na czele którego stał Noble Drew Ali. Czy nacjonalizm jest nieuchronną formą w rozwoju samookreślenia się społeczności murzyńskiej w walce z dyskryminacją rasową? Czy rzeczywiście stanowi etap, przez który trzeba było przejść? Szczególnie silne akcenty nacjonalistyczne dają się obserwować w ruchu Czarnych Muzułmanów. Wytworzył on — referuje to szczegółowo R. R. Ludwikowski — swoistą eschatologiczną historiozofię, uzasadniającą nie tylko separatyzm rasy „czarnej” od „białej”, ale wręcz jakiś osobliwy murzyński mesjanizm, operując przy tym odpryskami najrozmaitszych koncepcji religijnych.

Burzliwy rozwój ruchów murzyńskich w Stanach Zjednoczonych należy do niedawnej przeszłości. Wykazał on — mimo braku wyraźnych sukcesów — potrzebę zmiany sposobów walki. Uprzytomnił jej sens społeczny. „Silniej niż jakikolwiek kierunek przed nim podkreślał — pisze R. R. Ludwikowski — że problem murzyński to przede wszystkim problem czarnego getta, biedoty żyjącej w slumsach. Refleksja ta prowadziła do uświadomienia klasowych konfliktów amerykańskiego społeczeństwa oraz poszukiwania drogi wyjścia w sojuszu ludzi pracujących obu ras. Historia filiacji reprezentowanych przez radykalów idej jest dowodem stopniowego uświadomienia sobie tej konieczności”. Do takich właśnie wniosków dochodził badacz problemu murzyńskiego, śledząc ewolucję postaw i poglądów jego czołowych przywódców, takich jak Malcolm X czy Carmichael. Początkowy separatyzm i nacjonalizm poczynił powoli ustępować miejsca sympatiom prosojalistycznym. „W których hasło proletariackiej jedności wyśnuwane było na pierwsze miejsce”. Istniejące wśród białych robotników w Stanach Zjednoczonych uprzedzenia warunkują, że możliwości porozumienia są jeszcze nikłe. „Wydaje się jednak — konkluduje R. R. Ludwikowski — że to radykalowie uczynili pierwszy krok na drodze do wspólnego dialogu”.

Książka R. R. Ludwikowskiego o publikowana przez Redakcję Nauk Politycznych PWN jest z pewnością wartościową, ambitną rozprawą politologiczną, dotyczącą ważnego, wciąż mało znanego problemu współczesności. Raz jeszcze przekonuje, że trzeba i można podejmować w naszych warunkach poważne badania nad zagadnieniami współczesnego świata.

KRZYSZTOF POGORZELEC

ANDRZEJ F. GRABSKI

STANISŁAW KASZYŃSKI SZUKAM KSIĄŻKI

Ciągle szukam — na półkach księgarń, w zakamarkach antykwariatów, w składach makulatury — ciągle szukam Traktatu o Godności i Odwadze. Nie pomnę, kto autorem, czy wyszedł w dużym nakładzie, nikt nie wie, czy będzie wznowiony. Jakiś szczęśliwiec widział go w witrynie: był nierozcięty, papier najpodlejszy do wyobrażenia. Stał sam, zarozumiały, niepodległy, tylko w pobliżu przyciśnięty do zielonej

konfraterni.

Próbowałem spytać tego osobnika, gdzie, w jakiej księgarni, w jakim mieście, w kraju, lecz już nie zdążyłem usłyszeć odpowiedzi, zmarł bowiem przedwcześnie, mówiono, z nadmiaru przekonania. Przecież jest zawsze nadzieja w miłości SZUKANIA. Jeśli znajdziecie ten twór naiwnego umysłu natychmiast, proszę, napiszcie, na adres Niepocieszonego Optymisty Kod A Moze.

Lódź, dn. 3 kwietnia 1976

SPACER WIEDENSKI

O czerwcu niepojęty, rozłożył się dojrzwaniem... Różne pryskają przez kraty dostatnich ogródków, a tam u nas kasztan, któremu stąd się kłania: taki pocziwy. Na Wolfersberg, gdzie mieszkam, potoczki krętych uliczek o nazwach planet — jest Droga do Wenus, do Neptuna, Ścieżka do

Księżycu —

prowadzą przeciwieństwo nieomylnie niżej, gdzie ogniska zapasnych mieszczan i mowa na urągowsko Goethego. W jej drgnieniach jednak jak na obrazach mistrzów z Flandrii: sytość i spokój. Oto przełamuje się dzień, samochody jak zmordowane zwierzęta sapia pod galeziami. Gdzieniedzie głosy przymknięte, usychające

w powietrzu,

z oddali przybiega buczenie autostrady, przesuwają się żółtoświecące pojazdy — świetliki czasu naszych dzieci. WRACAĆ z przychylonego miasta. Dom, pochylasz się nad dzieckiem, jesteście smugą w świetle lampy. powtarzającą przezroczystą nagość oczekiwaniem.

STOJĄC PRZED OBRAZAMI PRZY JACIELA BUŁGARA

Wejść w lazur, w plaskanie morza, które chciałbyś zobaczyć, ty. urodzony w godzinie śnieżnej zawiei. Wejść śmiało, wejść głębiej w złoć: jakieś pudełko miasta czy laka rozkwita kaczekami? To tylko słońce Bizancjum. Zastygły pejzaż z boleściwą madonną, tuż obok niej wesoły mnich pije wino i krzyżem kołysze nad głowami płowych apostołów. Jeszcze Cyryl i Metody pochylają się nad literami, które wygiął słony wiatr słowiański. Na zbawienia światła. Na srebrzystych kamieniach ktoś je rybę i płacze za utraconym miastem: to kobieta. Gdyś to już obejrzał, zbełtane iskrami kolorów — jak życie ludzkie, jak życie ludzkie — musisz przejść strumą krawędzią do drugiej ojczyzny. Leży ona między zimnymi rzekami, sadze na drzewach — tyle ptaków na

grzęzawiskach!

A teraz spójrz jeszcze na dziewczynę, osuwa się z błękitów, omdlała, w ruchomy sen. Uśnij z nią, ale przebudź się o cichym brzasku — i — jeśli zechcesz oddał smak przemijania. Bradford, w maju 1976

TADEUSZ GICGIER

WESOŁY LITERAT

Na posiedzeniu rady klubowej uchwalił się, że w związku z pierwszą rocznicą pracy naszego klubu zrobimy spotkanie z literatem. Ostatnio modne są takie spotkania, więc trzeba iść z duchem czasu. Koleżanka Pliszka zgłosiła przy tym wniosek, któremu wszyscy gorąco przyklasnęli. Po pierwsze: że ma to być literat młody, i po drugie: że ma to być literat wesoły. Bo — jak powiedziała w uzasadnieniu swego wniosku — dosyć mamy rzeczy poważnych i wojennych wspomnień naszych rodziców.

W umówionym dniu literat przyszedł do klubu. Zamiast jednak podejść do kierownika, schował się za jeden z filarów. Kiedy kierownik wstał od stołu, pragnąc powitać literata — literat ukrył się za drugim filarem. Bardzo to nam się spodobało. Gdy literat pobiegł za trzeci filar, na sali wybuchnęły pierwsze śmiechy. A kiedy kierownik, ścigając literata, zawadził o stolik i prze-

wrócił się z nim razem, zapłonęła już ogólna wesołość.

Kierownik podniósł się, otrzepał spodnie, ustawił na swoim miejscu stolik i usiadł przy nim z nadętą miną. Wtedy literat wychylił głowę zza filara i zawołał głośno: „A kuku!” Cała sala zatrzęsała się od śmiechu, a przewodniczący rady zakładowej, który pisał zawsze w ramach pracy społecznej wiersze do gazetki ściennej, zawołał w stronę literata: „Panie literacie, czemu się tak chowacie?” Literat odrzekł: „Z miejsca: „Panie kolego, a co panu do tego?” Koleżanka Pliszka aż zapiszczała z uciechy. Wtedy literat: „Wesoła turkaweczko, gdzie masz swoje gniazdekczko?” Pliszka, nazwana turkawką, zrobiła się czerwona jak wiśnia, ale my wszyscy bawiliśmy się doskonale. Każdy mówił coś do rytmu, a literat zza filara odpowiadał.

Wola kierowniczka radiowej: „Po pierwsze, czy pan pisze wiersze?” Literat: „Po

drugie, piszę bardzo długie”. Przewodnicząca Ligi Kobiet: „A czy pan jest żonaty?” Literat: „Żonaty, ale na raty”. Kolega z planowania: „A ile pan ma dzieci?” Literat: „Dwoje, a pan jest trzeci!”

Tu nie wytrzymał nawet kierownik klubu i też parsknął zdrowym śmiechem. A ponieważ nastroj dojrzał już do drugiej części naszej rocznicowej uroczystości, przeszliśmy do sąsiedniej sali i zasiadliśmy do odpowiednio przygotowanego na uroczystość stołu.

Literat, widząc to, wyszedł wreszcie zza filara i usiadł na zarezerwowanym dla niego honorowym miejscu. Powitał nas hucznymi brawami, a kierownik — w uznaniu dla udanego występu literackiego — odbił własnoręcznie pół litra i postawił przed gośćmi, mówiąc: „To do wyjątkowej dyspozycji pana literata!”

Potem zagrał nasz zespół big-beatowy i zaczęła się potańcówka. Literat, opróżniwszy butelkę, poprosił przewodniczą-

cą Ligi Kobiet do lets-kissa, a gdy kierowniczka radiowej wysunęła nieśmiały wniosek, żeby nam coś zaśpiewał, uciśniętym jednym gestem towarzysztwo przy stole i odśpiewał z werwą „Buliczki”. Brawom nie było końca.

Dopiero nazajutrz okazało się, że zaszła pewna pomyłka. Przyszedł jakiś gość ze Związku Literatów i przedstawił kierownikowi skierowanie, na którym wypisano o dzień późniejszą datę spotkania. Wtedy ten wczorajszy poeta od „Buliczek” nie był literatem. Kierownik przypomniał sobie, że już go kiedyś widział, i że to jest pewien niebłeski ptaszek, dla którego postarał się przed pół rokiem o pracę w zakładzie, a wtedy ten nie pokazał się więcej w klubie. Uśmialiśmy się serdecznie, bo dopiero teraz zrozumieliśmy, dlaczego tak długo ukrywał się za filarami. Bał się, żeby kierownik nie zaproponował mu znowu jakiegoś zajęcia.

Mimo to na kolejnym posiedzeniu rady klubu wszyscy zgodnie opowiedzieli się za tym, by na następne spotkanie literackie zaprosić znowu naszego młodego poetę. To nie ważne, że nie należy do Związku Literatów. Na pewno żaden związkowy literat nie dałby tak wesołego występu.

przyborów szewskich i przyborów wędkarskich. Ostatniej transakcji handlowej — wejście w posiadanie potrzebnych mi depek, których nie dostałem w składach państwowych — dokonałem już późnym wieczorem z dozorcą pewnej budowy. Dozorca wyraził zdziwienie, że od razu nie wpadłem na ten prosty pomysł. Noc zeszła mi na konstruowaniu heblarki-wyrówniarki. Składałem, spawałem, zbijałem i wiązałem poszczególne elementy, nie zważając na czynną interwencję sąsiadów, którzy pukali w mój sufit, ściany i podłogę szorstkami. Cóż mogli oni wiedzieć o pasji konstruktora?

Gdy przed moim domem zajeżdżał traktor z GS, heblarka była gotowa. Przedstawiciele Gminnej Spółdzielni obejrżeli moje dzieło, pochwalili je i — zabrali uszczęśliwieni.

Odetchnąłem z ulgą. Nazajutrz o godz. 7.05 rano zaterkotał telefon. Dzwonił GS w Parzęczynie. Pytali się, kiedy mogą przyjechać po następną heblarkę.

HEBLARKA-WYRÓWNIARKA

O godz. 7.05 zerwał mnie na nogi telefon. Po uporczywym dzwonku poznałem, że to miedziastowa. Paniąka z centrali głosił miła też jak dzwoneczek. „Zaraz będzie rozmowa” — oświadczyła tym głosem i natychmiast się wycofała. Zarzuciłem na ramiona koldrę i stojąc przy biurku rozważałem pospieszenie, kto i z jaką sprawą może dzwonić do mnie o tej porze.

Dzwonił GS w Parzęczynie. Pytali się, kiedy mają przyjechać po heblarkę.

— Po co? — zdziwiłem się zaskoczony. — Po heblarkę-wyrówniarkę — wyjaśniał mi zachrypły głos, żeby nie było wątpliwości. — Możecie przyjechać zaraz — odpowiadałem jak umiem najgrzeczniej. — Tyle, że nie do mnie.

— Jak to, nie do pana? — zdziwił się z kolei mój rozmówca. — Czy to numer 555-447? — Tak jest, 555-44. — Mamy ten numer telefonu na waszym piśmie. Nie możemy dłużej czekać, przyjeżdżamy jutro — oświadczył pracownik GS i odłożył słuchawkę.

Wróciłem z koldrą na tapczan i nakryłem głowę poduszką, ale sen nie przychodził mimo, że najlepiej śpi mi się zawsze rano. I co ja mam teraz u licha zrobić? — zastanawiałem się pod poduszką, mając na uwadze zapowiedź rychłego przyjazdu przedstawicieli Gminnej Spółdzielni. „Jedynie wyjście to zrobić heblarkę-wyrówniarkę!” — powiedziałem nagle na głos i wyskoczyłem spod koldry.

W sklepie „Czuj-czynu” kupiłem „Małego majsterka”, w księgarni młodzieżowej — „Młodego technika”. Miałem

szczęście. W „Młodym techniku” znalazłem opis heblarki-wyrówniarki, a także trzech innych warsztatów stolarskich, w tym jednego z piłą tarczową do cięcia pionowego i jednego z piłą taśmową do wycinania w deskach różnych elementów.

Wstąpił we mnie duch racjonalizatorski. „A gdyby tak skonstruować jeden warsztat z trzema piłami?” — rozmyślałem, wiedząc już o tym, że heblarka-wyrówniarka zaopatrzona jest w piłę poziomą. — Trzy piły: poziomą, tarczową i taśmową! Toż to byłoby osiągnięcie!”

Wychodziłem jeszcze kilkanaście dni do miasta w poszukiwaniu różnych potrzebnych mi urządzeń bądź ich składników przetrząsając gruntownie sklepy, składki i magazyny: drzewne, żelazne, artykułów gospodarstwa domowego, tysiąca i jednego drobiazgu, a także —

jęciami piłami. Położyliśmy w ten sposób kres warkotowi tradycyjnej piły, który ploszył zwierzynę powiększając tylko jej nerwowość.

— Niby racja — zacząłem się głośno zastanawiać — ale przecież i taki spadający bezszelestnie świerk tuż obok działki, może przypaść biedne zwierzę o zawał.

— Zawał! — pilarsz uszczęśliwiony klasnął w dlonie. — Sam pan to powiedział! A co jest m. in. głównym źródłem zawałów, jak nie hałas? W naszych lasach natomiast żadne uboczne dźwięki towarzyszące wycinaniu drzew, nie wpływają destrukcyjnie na życie tu sarenki, niedźwiadki i jelenki. Wstępnie co prawda, ale rozpatrujemy już zastosowanie cichej broni myśliwskiej. Ponadto, w najbliższym czasie wszystkich poruszających się po puszczy grzybiarzy będzie wyposażać w wołkowe kapcie. Wówczas nastąpi pełna eliminacja trzasków, huków i warkotów, tak szkodliwych dla zwierząt. A błogosławione działanie mojej piły mogę panu zaraz zademonstrować —

zaproponował pilarsz i uchwycił swoje narzędzie pracy mocno w ręce.

Po paru minutach ściana lasu zaczęła się cofać prawie bezszelestnie coraz dalej i dalej.

— Cudownie! Wspaniale! — wrzeszczałem na całe gardło — Zupełnie jak w ostatnich scenach „Makbeta” z tym ruszającym się lasem. Tyle że odwrotnie.

Pilarsz przyskoczył do mnie gwałtownie.

— Ciszej!!! Zapomniał pan o ciszy! — syknął. — A może i pan lansowana przez nas tezę uważa za nonsens? — popatrzył na mnie groźnie.

— Jaką tezę? — Dotąd panował powszechny pogląd, że las to cisza. A my próbujemy rzecz całą odwrócić. I wierzymy, że dzięki wprowadzeniu bezgłośniejszej piły, broni oraz wołkowych ciapiel, musi nam się to udać — dodał szeptem, odchodząc na palcach w kierunku potężnego drzewa, które po chwili opadło bezszelestnie na zielony mech.

— Fonetycznie to piłka za linią boczną boiska. A także część słów audycja i audytoryum.

— Jest cudownie! — Zaczęły bić brawa panie. My zaś wypiliśmy lekko przynębieli duszkiem po jednym gębszym. Pan Marian jest jednak nadal świetnie dysponowany. A już myśleliśmy, że choć raz się potknie i gówno z tego wyrazu wycisnie. W końcu to przecież tylko cztery litery. Dobrze jednak czasem potrenować intelektualistów i podsunąć im jakieś wymyślne zadanko. Niech choć dzięki naszym staniom szlifują sobie formę.

MAREK NEJMAN

biegłem w dziedzinie ochrony środowiska, wymarłem już gdzie indziej osobliwości fauny i flory.

Nagle poczułem, że jakieś ostre zęby wpijają mi się w tyłek. — Ryś, żbik, pterodaktyl? — przemknęło mi gwałtownie przez głowę — które z nich? A może wszystkie naraz? — Zerwałem się gwałtownie. Przede mną stał człowiek z mechaniczną piłką w ręku.

— Najmocniej przepraszam — skłonił się nisko — ale wziętem pańską nogę za pień drzewa, którego tu, w naszych puszczańskich stronach, nie brakuje.

— Zaskoczył mnie pan! — wykrzyknąłem. — I nie pojmuję jak to się stało! Przecież zaatakowany zostałem pracującą piłką!

Pilarsz uśmiechnął się tajemniczo.

— Do wyrębu naszych lasów wprowadziliśmy istotne novum — wyjaśnił. — W trosce o te lasy właśnie — dodał radośnie. — Otóż, ścinki drzew dokonujemy bezgłośnie pracu-

TRENING

Postanowiliśmy zbadać do głębi inteligencję pana Mariana. Tak sobie, z ludzkiej ciekawości. Pan Marian nieprzychylnie błyszczał od dłuższego czasu w towarzystwie. Wszystkich więc interesował kres jego intelektualnych możliwości. Ktoś położył przed nim kartkę i długopis.

— Trzy minuty na ułożenie z tego maksymalnej ilości słów — powiedziała jedna z pań.

— Słowo wyjściowe jest krótkie. Niewiele z tego da się wycisnąć — mruknął pan Marian.

— To zależy jak kto ciśnie — odrzekła pani kokieterijnie.

Wszyscy ryknęliśmy głośnym śmiechem.

— Pad — rzucił egzaminowany po krótkiej chwili milczenia. — Czyli rzeka we Włoszech. Zamrugaliśmy ze zdziwienia oczami.

— O ile, oczywiście, ten wyraz napisze się z dużej litery

— zareplikował natychmiast. Zarechotaliśmy zgodnym chórem.

— Uda — nie pozwolił znów długo czekać.

— Intelektualista i zbereżnik — rozległ się szept pełen podziwu.

— Pud! — strzelił pan Marian. Wstrzymaliśmy oddechy.

— Upad — brnął dalej — czyli na dobrą sprawę takie samo słowo, jak opad od opadania.

— Zaczyna tworzyć nihilizm — pisnęła pani Kasia.

— Neologizmy — poprawił ją małżonek.

— Aud — rąbnął pan Ma-

OŻENIEK GMINNY



Fot. E. Hartwig

Dalszy ciąg ze str. 1

2.

stawa jej zamożności. Ludności jednak było sporo, toteż nieliczna administracja nie mogła się wyrobić.

GMINA PABIANICE była większa, typowo rolnicza, specjalizująca się w hodowli bydła mlecznego. Urzędy gminne nie miały solidnych siedzib, nie opłacało się wznosić budynków dla obu gmin. Administracja na początku rozproszona: w Ksawerowie, Pabianicach, i to przy różnych ulicach.

Powstała gmina silna administracyjnie i gospodarczo, o profilu rolniczo-ogrodniczym. A więc było to małżeństwo z rozsądku.

Czy zaślubiny dokonywały się w atmosferze radosnej euforii?

Wojciech Piórkowski, drugi sekretarz KG PZPR w Pabianicach:

— Nie. Ciężka tradycja, gmina w Ksawerowie była od przed wojny. Mieszkańcy mówili, że za daleki dojazd do nowego urzędu. Były przykre narady z pracownikami administracji. Nie wszystkie funkcje można było dublować.

— Ale teraz, na rogu Karniszewickiej i Torowej, macie piękny, piętrowy budynek z licznymi pomieszczeniami. Stwierdziłem, że interesanci załatwiają się sprawnie i rzeczowo.

— W wyniku połączenia ilość urzędników nie zmalała, nawet nieznacznie wzrosła. Niektórzy kierownicy dogadali się i pełnią równorzędne funkcje. Przyjeżdżamy z Urzędu Miasta wydział komunikacji, którego w obu gminach nie było, jak również sprawy podatku obrotowego. Skupiliśmy grono świetnych fachowców — instruktorów, m. in. przybył instruktor leśnictwa. Obecnie dosłownie wszystkie sprawy można załatwić w Urzędzie Gminnym. Ksawerów zyska Ośrodek Zdrowia z punktem aptecznym, który zajmie budynek po byłej siedzibie gminy. Ze względu na skup pólów i konieczność przeprowadzenia bilansów, w styczniu 1977 roku zostają połączone GS-y. Gminna Spółdzielnia w Pabianicach podlega bezpośrednio WZGS; jest silna i prężna, posiada magazyny z prawdziwego zdarzenia; podlega Rejonowej Spółdzielni Zaoopatrzania i Zbytu GS w Ksawerowie stanie się jej filią. Rolnicy więc nie będą musieli jeździć daleko, aby zaoptażyć się w potrzebne materiały.

W swoich reporterskich wędrowkach spotkałem starego rolnika, który otrzymał przed trzydziestu laty dobrą ziemię i budynki, zdewastował gospodarstwo. Skarżył się, że mu zdychają świnię. Zdychały, a te co jeszcze żyły, zjadły zdechłe. Czy należało go natychmiast wywłaszczyć?

Nie wiem. Bo trafiałem również na naczelnika gminy, który wykonując gorliwie odgórne zarządzenia, zabrał rolnikom dzierżawianą ziemię z PFZ, której później przez trzy lata nie miał kto uprawiać.

W gminie Pabianice jest 2050 gospodarstw. Trzysta dwadzieścia jeden gospodarstw powyżej 0,5 ha stanowi własność chłopów-robotników. Prawie tysiąc właścicieli przekroczyło sześćdziesiąt lat życia.

— **SKR-y** sąnowym tworem — mówi naczelnik gminy, Mirosław Krata — i nie zawsze świecą dobrym przykładem. Ziemię z PFZ chętniej przekazywałbym dobremu rolnikowi czy zespołowi rolników, byłoby tylko chcieli ją przejmować. Trudno chłopu wywłaszczyć, bo zawsze może spytać, dlaczego nie pomogła mu SKR. Kiedyś starszy rolnik starał się o przekazanie ziemi. Bolały go nogi, wsiadł więc do samochodu i kazał jechać przez pole. Musiał pokazać każdy swój zagonek, aby udowodnić, że przekazuje ziemię w dobrym stanie, należyście zagospodarowaną. Nie wolno doprowadzać do dramatu. Przekazywanie ziemi nie może się odbywać poprzez nacisk administracyjny, to musi się dziać samoczynnie. Rolnicy w podeszłym wieku myślą o przyszłości, przychodzą i pytają, jak to będzie...

W gminie Pabianice w ciągu roku 30 gospodarstw zdano dobrowolnie; przejęto też trzy gospodarstwa opuszczone.

Rolnicy mówią na zebraniach: przyjeżdżcie i zobaczcie, co się dzieje w terenie.

Gmina spełnia te postulaty. Instruktorzy rolni mają wykaz, kiedy i w którym sołectwie dyżurują. Rolnicy przychodzą do soltyśa i wiele spraw załatwiają na miejscu. Gdyby tak było wszędzie, stary człowiek nie musiałby wlecieć do gminy ze skargą, że kaza mu wymieniać pokrycie dachowe. Jedno wymienił, drugie jest w dobrym stanie, ale urzędnik zza biurka nie widział tego.

Po wsiach krążą opracowane w

gminie „obiegówki”. Pisz w nich jasno kto, za co i ile może otrzymać cementu lub węgla oraz, że np. za jedną zakontraktowaną sztukę trzody mięsno-słoninowej można nabyć 200 kg paszy treściwej, 150 kg za jeden miot prosiąt itd.

Utworzono pięć zespołów: do spraw gospodarki wodnej, gospodarstw specjalistycznych, odbudowy i wzrostu pogłowia w gospodarstwach chłopo-robotniczych i średnich, do spraw oświaty rolniczej oraz do spraw gospodarstw prowadzonych przez kobiety samotne, inwalidów i ludzi w starszym wieku. W wyniku prac zespołów każde gospodarstwo otrzyma swoją kartę. Będzie to coś w rodzaju karty chorobowej: określili się dolegliwości i wskaże środki, które należy zastosować, aby gospodarstwo wróciło do normy.

Ubywa starszych rolników, trzeba więc stawiać na młodych. Na takich, jak Kisiel i Kuhler z Woli Zaradzińskiej, którzy proszą o ciągnik z kasaacją. Otrzymają go. Albo, jak prezes ZSL z Szynkielowa, Zygmunt Krasa, czy też młody technik ogrodnik, który zamierza kupić w Porzewicach 6 ha ziemi. Dla tych młodych i doświadczone rolników przede wszystkim materiały budowlane, sprzęt i pomoc fachowa. Bo przyszłość wsi to 7—10 gospodarstw po 20 ha, które poprowadzą młodzi.

W gminie około tysiąca gospodarzy powyżej sześćdziesiąt lat i prawie tyle samo członków ZSMP i ZHP. Sekretarz Piórkowski napomknął, że przydałoby się jakieś pomieszczenie i zatrudniony przynajmniej na pół etatu człowiek, który by energiczniej zajął się życiem organizacji.

3.

Zamierzano położyć chodnik, a tu na drodze głęboko zakorzenione pnie ślepych drzew. Nikt nie chce tego ruszyć. Ludzie z urzędu gminnego udali się do... księdza. W niedzielę wygłosił kazanie, w którym zaznaczył, że jest zarządzenie odgórne, ale jakie, nie powiedział, aby usunąć pnie. No i usunęli zawalidrogę, jest chodnik.

Podobnie, dzięki fortelowi uporano się z facetem, który miał za głębokie fundamenty i zalewał go wodą; wstał pompę i notorycznie zalewał ulicę.

— **Słodko i gorzko** — mówi naczelnik Krata. — **Uśmiechnę się, to pełen**

mówi: Co się pan śmieje? Mówię, że to trzeba załatwić w służbie rolnej, to on: Coś pan taki ważny? Nie chcesz pan rozmawiać? Ja pójdę po szczeblach. A jak cierpliwie wyjaśniam sprawę, wybucha: Co pan krzyczy?! Kiedy przyjdzie starszek, dam kartkę, żeby go szybciej załatwili w gese, ale gdy awanturuje się chłopo-robotnik, że się zwolnił z fabryki, a maszyna nie przyjechała do młocki, nie załatwię od ręki. Młody człowiek mówi: Hoduję świnię, ma 60 kg, dajcie paszę! Zakontraktował pan? A co, ja sam nie potrzebuję zjeść? Albo: matka zdaje gospodarstwo za rentę, dzieci z budynku nie odchodzą. Walą do urzędu i mówią, żeby dać mieszkanie w blokach, ponieważ leje się jak diablo, a że chałupa nie ich, to nie będą remontować. A co żecie wy przez tyle lat robili?...
Tak to jest na tym stołku naczelnikowskim. Nie każdemu dogodzi. Kłopot z węglem dla licznych ksawerowskich ogrodników, nie wiadomo, jak rozdzielić, pierwszeństwo mają specjalizujący się rolnicy. Kłopot z przydziałem cementu, głównie dla działkowców. Budownictwo idzie na całego, przy trasie tramwajowej Ksawerów łączy się z Łodzią. Ale ciągnikami Ksawerów jest już nasyciony. Są zapasy cementu, można brać, nie czekać do wiosny, bo znowu nie będzie.

— Na przystankach między Łodzią i Pabianicami widać piękne wiaty z punktami sprzedaży artykułów spożywczych. Ile coś takiego kosztuje?
— Jedna wiata — naczelnik Krata uśmiecha się — ponad dwieście tysięcy. Ale my to robimy w kooperacji. Z „Ruchu” 75 tysięcy, z GS — 85 tys, trochę z MPK i wiata stoi. Tak samo z drogami i oświetleniem. Bo funduszu gminnego jest zaledwie półtora miliona. Np. potrzebna jest asfaltowa, oświetlona droga do kombinatu ogrodniczego. Prowadzimy rozmowy, dostajemy 800 tys. zł w ramach koordynacji i dzięki temu możemy budować: obie strony, tzn. gmina i kombinat, zadowolone.

4.

W gminie Pabianice 27 ha pod szkłem, warzyw około 200 ha, głównie kapusta, marchew i buraki. Ale obok tego specyficzna podmiejska „szachownica”, klina nie najlepiej uprawiane. Kiedy cztery lata temu przybył tutaj z Poznańskiego, gdzie najwyższa kultura agrarna, starszy instruktor ogrodnictwa, mgr inż. Edward Lewowski, włosy mu się zjeżyły na głowie.

— Ale od tego czasu coś się zmieniło?

— Oczywiście, nawet niedawne połączenie gmin daje już pierwsze wyniki. Za 10 miesięcy 76 roku skup mleka przekroczone o 50 tys. litrów, a skup ziemniaków o 40 ton. Ale stan pogłowia zachwiany, spadł w granicach 10 proc. Będziemy starali się do lipca 77 roku doprowadzić do stanu z 75 roku. Szkopuł w tym, że nikt nie przewidywał, że w wyniku suszy stanie się wegetacja ziemniaków, które później „złapały drugą wegetację” i stały się bardzo wrażliwe. Gniją. Kiedy rolnicy zauważyli zapadanie kopców, rzucili się na kolumnę parnikową. Bo parowanie ziemniaków to oszczędność czasu, zdrowia i węgla. Przydałoby się w gminie cztery kolumny parnikowe. Wspólnie z naczelnikiem doszliśmy do wniosku, że w tej sytuacji należy korzystać z zapasów pasz treściwych. A co, mają ulec przeterminowaniu i wyrzucić? Ponadto bliskość miasta pozwala na korzystanie z odpadków stołowych...

Rozmawiałem z rolnikami i ogrodnikami, aby skonfrontować, czy wszystkie te zamierzenia nie leżą wyłącznie w aktach sprawozdań. Nie leżą. Służba rolna zajmuje się przydziałem pasz, materiałów budowlanych, maszyn; naczelnik nadzoruje, sprawdza. Żeby było sprawiedliwe.

Ze nie wszystko zboże dostarczone do magazynów? Bo skup trwa do maja 77 roku, nie wszyscy jeszcze wymłócili.

Tak, są pokazy kłuszenia i parowania; w Łaskowicach nad Nerem i w Rypultowicach nad Dobrynką przeprowadzone kompleksowe nawożenie i wapnowanie łąk, tak jakby w ogóle nie było miedzi. Ale w Rydzynach czekają na meliorację.

Wokół Pabianic plantacje róż na działkach, prowadzone przez osoby nie uprawnione. Dlatego prowadzi się kursy, zarówno dla ogrodników, jak i rolników specjalizujących się w hodowli czy uprawie warzyw.

Takie głosy:

— **Gmina chce zrobić gospodarstwa specjalistyczne, o wysokich normach. To dobrze, ale jednocześnie trzeba myśleć o wzroście liczby kontraktujących. I żeby terminy kontraktacji były dotrzymywane przez dostawców.**

— **Specjalizacja jest pracochłonna, pozostaje mniej czasu na handel. Ale jak już specjalizacja, to z racjonalnym zróżnicowaniem. Nie hossa, nie tylko to, co się opłaca. Bo gdy biała kapusta obrodziła, wysyłali chłopów do Zgiezra...**

To się zgadza, w urzędzie gminnym też się nad tym zastanawiają.

RYSZARD BINKOWSKI

TRZECI
POLSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

nia form dotychczasowych kontaktów było zorganizowane w dniach 18-19 listopada 1976 r. przez **Wschrotyjskie Towarzystwo Teatralne** — instytucji niezwykle znaczącej dla teatru radzieckiego, której należą się osobne słowa — **Symposium polsko-radzieckie nt. „Współczesność na scenach radzieckich i polskich”**. Była to okazja do spotkania najwybitniejszych przedstawicieli życia teatralnego obu krajów. Ze strony radzieckiej wypowiedzieli się twórcy dobrze znani polskiej widowni: **A. Arbuzow, A. Salyski, A. Gelman** (którego „Protokół z pewnego zebrania”, a pierwowzór filmowej „Premii” robi karierę na polskich scenach, jak również wybitni reżyserzy: **E. Simonow, G. Towstonogow, M. Czausow**. Równie reprezentatywni byli przedstawiciele polskiego teatru: **J. Grotowski, A. Hanuszkiewicz, T. Lomnicki, K. Puzyna, J. Przędziński, H. Szletyński**.

Największe zainteresowanie wywołało blisko godzinne wystąpienie **Jerzego Grotowskiego**, który mówił o ewolucji swojego teatru i o obecnym etapie poszukiwań. Teatr Grotowskiego jest tutaj znany jedynie z komentarzy krytycznych, a obecność jego twórcy na sympozjum stworzyła okazję do licznych pytań, także na temat możliwości występów tego teatru w Moskwie. Na sympozjum dokonano również podsumowania artystycznych rezultatów III Festiwalu oraz wręczenia zespołowe i indywidualne nagrody dla najciekawszych spektakli.

„NARODOWY” NA
SCENIE MCHAT

Akcentem koniecznym i dopełniającym święto teatru polskiego w ZSRR były występy warszawskiego „Teatru Narodowego” w Wilnie i w Moskwie. Była to już trzecia podróż „Narodowego” w tę stronę. Poprzednim razem, w 1973 roku, **Adam Hanuszkiewicz** pokazał moskiewskiej publiczności „Trzy siostry”. Tym razem „Narodowy” przywiózł „Wesela” i „Trzy po trzy” według Fredry.

Poddanie „Wesela” osądowi obcej publiczności było, jest i chyba pozostanie eksperymentem wielce trudnym i ryzykownym. Przedstawienie było, rzecz oczywista, tłumaczone przez słuchawki i poprzedzone specjalnie przygotowanym prologiem-komentarzem wprowadzającym w historyczne i mitologiczne realia „Wesela”.

I mimo iż **Adam Hanuszkiewicz** w swojej nowej inscenizacji „Wesela” wydobyl sens bardziej uniwersalny i dramat poprowadził tą granicą, która dzieli w nim tragizm od farsy, uławnia wielokrotnie formy pustostawia w zderzeniu z twardą rzeczywistością historii, to jednak do tutejszej publiczności dotarł zaledwie w połowie drogi. Moskowianie przyjęli spektakl ciepło nie ze względu na kurtuazję, ale z uwagi na jego atrakcyjną materię teatralną, błyskotliwą i egzotyczną i obojętność bardzo tutaj popularnych aktorów, przede wszystkim **Daniela Obyrskiego** w roli Stańczyka i **Andrzeja Lapickiego** w roli Pana Młodego.

Natomiast znacznie żywszy odbiór towarzyszył drugiemu spektaklowi „Trzy po trzy” opartemu na mniej znanych komediach Aleksandra Fredry i zupełnie nieznanymi jego dziełom teatralna biografia artystyczna, której kanony sceniczne **Adam Hanuszkiewicz** stale rozwija na scenie ze zniewalającą maestrią. Nie oparla się jej również publiczność radziecka. Przedstawienie było w pełni zrozumiałe, przyjmowane z żywiołową wdzięcznością i entuzjazmem.

Pora na konkluzję, ale konkluzji nie będzie. Nie stoimy bowiem przed zjawiskiem skończonym i zamkniętym. **III Festiwal Polskiej Dramaturgii w ZSRR** był jedynie oficjalnym symptomem żywego, twórczego procesu, — stale pogłębianej obecności polskich treści w najwspanialszym nurcie radzieckiej kultury.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

BLISKO

RZECZYWISTOŚCI

Jesteśmy tuż przed półmetkiem nowego serialu Zbigniewa Chmielewskiego o Henryku Czarneckim „Daleko od szosy”. Na serial ten telewizorze czekali z niecierpliwością. Nie dziwnego. Reżyserem jest przecież twórca słynnych „Dyrektorów”, scenarzysta Henryk Czarnecki, autor ciekawej książki „Profesor na drodze”, na podstawie której powstał głośny swego czasu film telewizyjny. Nawiasem mówiąc autorami filmu też byli: Chmielewski i Czarnecki.

No i wreszcie główną rolę w serialu gra Krzysztof Stróński — odtwórca głównej roli w filmie innej spółki literacko-filmowej, w „Pójdiesz po nad sadem” Ryszarda Binkowskiego i Waldemara Podgórnego.

Czekaliśmy wszyscy wiedząc, że „Daleko od szosy” będzie blisko rzeczywistości, że wreszcie po dłuższej przerwie zobaczymy w filmowej produkcji TVP kawałek prawdziwego życia.

I tak się stało. Możemy to stwierdzić już dziś, po kilku odcinkach serialu. Choć trzeba też stwierdzić, że lekkie zdziwienie wywołał odcinek pierwszy. Nieszłyta jasna była w nim retrospekcja z dzieciństwa głównego bohatera, trochę zamieszania wprowadziła wielość wątków...

Ale pierwszy odcinek był niejako wprowadzeniem w fabułę serialu. Wątki i sprawy tam zaszyfrowane znajdują swoje uzasadnienie w dalszych odcinkach. Inna sprawa jest z niezbyt przejrzystą sekwencją retrospekcji z dzieciństwa. Otóż film jest kolorowy i trudno mieć do reżysera pretensję, że wykorzystał walory taśmy do zasygnalizowania barwą wspomnień z dzieciństwa. Tylko, że dziewięćdziesiąt procent odbiorców telewizji dysponuje odbiornikami czarno-białymi. No, ale w końcu filmu nie robi się na dziś tylko, a za parę lat telewizorów kolorowych będzie więcej niż teraz małych Fiatów.

Już w drugim odcinku „Daleko od szosy” przypomina najlepsze sceny z filmów Chmielewskiego. Dowcipny, wartki dialog, dobrze podchwycone sceny obyczajowe, dynamiczna akcja. No i to, co najważniejsze — sprawy ludzkie, codzienne, problemy życiowe nas obchodzące. Nie więc dziwne, że „Daleko od szosy” jest kolejnym serialem telewizyjnym, o którym się mówi w gronie rodzinnym, w autobusie, tramwaju, wśród znajomych... Podobno czwarty odcinek „Daleko od szosy” jest najbardziej udany (tak twierdzą sami twórcy) — natomiast eksperci telewizji są zdania, że najlepszy jest odcinek siódmy. Ano, zobaczmy, porównamy i wrócimy jeszcze do filmu Chmielewskiego i Czarneckiego już po zakończeniu emisji całości.

A propos ekspertów. Jeszcze przed świętami „Polityka” opublikowała ogromny materiał, będący efektem „przyjrzenia się” telewizji przez zespół ekspertów warszawskiego tygodnika. Niżej podpisany z satysfakcją stwierdza, że znalazł w tej publikacji potwierdzenie szeregu własnych, subiektywnych ocen.

Pisze zatem „Polityka”: „...dominującą formą językową, obejmującą zarówno ludzi z jednej jak i z drugiej strony kamery, jest coś, co można by nazwać telewizyjnym językiem urzędowo-potoczny (...). Obok tego egzystują zwroty w rodzaju „fajnie”, „klawo”, mające ożywiać i odficjalniać styl, nigdy jednak w stronę barwności i elastyczności języka literackiego, lecz w stronę zwrotów kolokwialno-kinajackich (...). Ten sposób przez ludzi telewizji wypowiadania się — z pominięciem kolokwializmów, które ich rozmówcy uważają za niestosowne i zbyt mało odświeżające — udziela się ludziom zapraszanym do studia, przeważnie w roli przedstawicieli poszczególnych branż przemysłowych czy innych dziedzin gospodarki lub życia społecznego, przez co wytworza się sytuacja, kiedy obie strony mówią w zasadzie tym samym językiem, stając się coraz bardziej upowszechniającą się — poprzez telewizję właśnie — model oficjalnej polszczyzny”.

Niestety, nie jest to najpiękniejszy model, ale cóż robić, zdaje się, że już nie ma odwrotu od polszczyzny telewizyjnej. Tak jak pewno nie ma odwrotu od ceremonialności propagowanej przez telewizję, od propozycji zbiurokratyzowania i „uszczenia” prostych nawet i oczywistych zdarzeń i działań ludzkich. Telewizja uczy tego nawet dzieci w programach młodzieżowych. Ale to już osobny temat, który sygnalizowałem już przed tygodniem.

TELEMAN

Dalszy ciąg ze str. 1

dzieci... Tworzyło to atmosferę pogody i zadowolenia, nie kłócąc się wcale z podniecającym wyczekiwaniem na mecz. Watahy kibiców parły już w stronę stadionu; przepełnione tramwaje i autobusy, samochody o różnych rejestracjach, wycieczkowe i te mniejsze, prywatne, motocykle, rowery, wozy transmisyjne radia i telewizji — cały ten karawan podążał wolno do celu. Przez chwilę jechałem bok w bok z ciężarówką Kroniki Filmowej, później rozdzieliła nas oblepiona reklamami buda, głośnik chrząkał: — Proszę państwa, można jeszcze nabyć bilety w kasach stadionu. — Trochę muzyki. — Sprzęt piłkarski firmy PUMA i ADIDAS czeka na ciebie w sklepach...

Zboczyłem z przepełnionej drogi w ulicę, która wiodła wzdłuż torów kolejowych, a dalej, za wiaduktem, okalała cementarz, park i sektor willowy. Cieszyłem się na to spotkanie. Jak dobrze pójść, wezmę ją na noc do hotelu, i... żebym skonał! nie wypuszczę przed świtem. Słodka niemoc brała mnie od tych myśli. Zaczęłem się niecierpliwić, śpieszyć. Było już dwadzieścia po trzeciej, jeśli mam wrócić na czwartą, muszę podkręcić tempo. A tu jak na złość — przed skrzyżowaniem zahalował mnie drogowiec.

Zjechałem na pobocze, co było zgodne z jego życzeniem. Podszedł, zasalutował i rzekł krótko:

- Dalej ruch jest zamknięty.
- Dlaczego?
- Władza nie lubi takich pytań. Ale wyjaśnij:
- Mecz.
- Ja właśnie jadę na mecz...
- Tedy pan nie przejdzie.
- A kądże?
- Tamtędy. — Pokazał kierunek, z którego przyjechałem.
- Niech mnie pan puści, szefie — poprosiłem. — Nazywam się Dragan, słyszał pan chyba? Muszę wpaść po narzeczona...
- Proszę bardzo, ale wóz należy zostawić tutaj.
- Spóźnię się.
- Nie moja sprawa.
- Zlituj się, człowieku!
- Pan mi przekaż.

Wróciłem na jezdnię, żeby zatrzymać innego pechowca.

Co miałem robić? Zamknąłem samochód i przebiegłem na lewą stronę ulicy. Chciało mi się palić, więc w poszukiwaniu papierosów włożyłem do kieszeni obydwie ręce. Dalej sprawa miała być prosta. Zanim zdążyłem je wyjąć, ktoś zadarł mi marynarkę na plecach i ściągnął przez głowę — stary gangsterski numer, polegający na unieruchomieniu ramion i zastrzeżeniu twarzy. Raz tylko zdążyłem krzyknąć, równocześnie otrzymałem cios w usta i zostałem wepchnięty do bramy, gdzie czyjaś pięść znowu trafiła mnie w zęby, a później jeszcze w czoło i skroni.

Napiąłem mięśnie i materiał trzasnął pod pachami. Nim zdolałem wyszarpnąć się z marynarki, wierzgnąłem lewą nogą i to złagodziło trochę twarde uderzenie palki czy draga, który najwyraźniej mierzyl w ów siniec po wóźnie. Upadłem, a właściwie osunąłem się ze ściany. Usłyszałem tupot podkutek butów na chodniku. Oswobodziłem głowę, widziałem przez moment twarz napastników. Ich twarze rozmazywały mi się w oczach. Próbowaliśmy zetrzeć z czoła te krwawe, lepką mgłą i zapamiętałem bandziorów, z których jeden nie był mi całkiem obcy, ale powtarzałem: celne uderzenie w płuśnicę sprawiło, że straciłem przytomność.

Poczułem na skroniach coś zimnego. Z wolna zaczęły mnie dochodzić przytłumione odgłosy miasta — rozmowy, śpiewy, monotonny szmer kroków. Otworzyłem powieki i zobaczyłem nad sobą tego drogowca, który nie pozwolił mi przejechać.

- Kto to był? — zapytałem.
- Chuliznaria.
- Nawiały?
- Westchnął. A potem:
- Nie panu nie zginęło?
- Spojrzałem na zegarek, wymacałem portfel i powiedziałem:
- Nie.
- Spłoszyłem ich w porę.
- Dziękuję. — Zdałem z czoła wilgotny gałganek.
- Pan naprawdę jest piłkarzem?
- Tak. — Przetarłem ostrożnie twarz.
- W zasadzie powinniśmy iść na posterunek i zrobić protokół.
- Darujmy sobie.
- Takie są przepisy.

— Pleprze wasze przepisy. — Próbowaliśmy wstać, ale przeszywający ból zatrzymał mnie w miejscu. — Jak byś pan był porządnym człowiekiem — powiedziałem — zawioźbyś mnie pan do znajomej. Mieszka tu zaraz. — Podałem adres.

Po krótkim wahaniu wziął ode mnie kluczyki. W chwilę później zajeżdżał wozem pod bramę i pomógł mi wstać.

Przed domem Sylwii chciałem wcisnąć mu dwudziestaka, ale nie przyjął.

- Powodzenia — burknął.
- Powodzenia.
- Wprowadź pana do środka?
- Dam radę.
- No, to powodzenia.
- Powodzenia.
- Bo mogę pana wprowadzić...
- Nie. Muszę się wpiętro trochę ogarnąć...

Odszedł, a ja sięgnąłem pod siedzenie, gdzie była torba z lekami. Odsuwając ekspres, przypomniałem sobie o igłach. Zakląłem. Znalazłem jakąś starą, pogiętą, mocno zardzewiałą sztykę. Osmalilem ją dokładnie nad płomieniem zapalniczki, następnie wytarłem watą umoczoną w spirytusie salicylowym i wbiłem na strzykawkę. Z bólu drżały mi ręce, a czy mimo to wnieść igłę do ręki? Wziąłem linołait, poczem wcisnąłem trochę tłok, aby wypuścić powietrze i wbiłem hydrokortizon. Zdezynfekowałem gąbczastą, fioletową gulę na goleniu i zagryzając wargi wkłułem się w jej blade obrzeże. Ucisnąłem ciałem, żeby sprawdzić, czy nie leci krew i dopiero wówczas podłączyłem do igły strzykawkę. Po zastrzyku rozgrzełem jeszcze dwa proszki przeciwbólowe. Pchnąłem do tyłu siedzenie i zamykając oczy czekałem na efekt.

Wtedy usłyszałem za szybą głos Sylwii. Cichy, oburzony szept złowieszka, któremu wyrządzono zniewagę.

- Jak ty wyglądasz?
- Zalaatwili mnie — powiedziałem.
- Kto?
- Nie wiem.
- Zobaczyłem w lusterku rozkwasy, spuściła jak rybi pecherz wargę, dużo krwi na brodzie, szyl i porwany ubranie.
- Musisz bez przerwy udawać łobuza?
- Przepraszam.
- Właścisz się gdzieś — powiedziała z nieukrywaną odrazą — zamiast przyjeść do mnie.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KWADRANS

ŚPIACE KRÓLEWNY

- Szedłem do ciebie.
- Nie bili cię przecież w samochodzie.
- W porządku. Pomożesz mi? — zapytałem.
- Oczywiście. Jedźmy do hotelu.
- Wiesz... — wyciągnąłem do niej rękę — gdybym mógł trochę u ciebie położyć, napić się czegoś...
- Jej twarz zrobiła się nagle absolutnie stanowcza, a przy tym jeszcze — zniecierpliwiona.
- Wybac, nie chcę, żeby matka widziała cie w tym stanie. Jedźmy raczej do hotelu.
- Wówczas zatrzasnęła się we mnie jakaś szuflada. Odczekałem parę sekund. Później otworzyłem drzwi i powiedziałem:
- No to jedźmy.

W łazience obmacałem dokładnie kość, pocieszałem się, że nie ma pęknięcia. Ból zelżał — tępy teraz, opasujący łyską ciepłą, swędzącą obręczą. Nie rozbrajałem się, wszedłem do wanny. Podwinąłem lewą nogawkę i puściłem na słuchowe miejsce strumień chłodnej wody. Później przyłożyłem delikatnie ręcznik i skakałem na prawej nodze jak dziewczynka, która bała się w niebo-piekiło, wróciłem do pokoju.

Leżałem w ubraniu na wykończonym, czystym pościeli i patrzyłem w sufit. Dokuczała mi obecność dziewczyny. Nie mogłem ani kłąć, ani jęczeć, a na jedno i drugie miałem szczególną ochotę.

- Poruszyła się w fotelu.
- Chcesz grać? — zapytała.
- Nie — powiedziałem. — Chyba nie...
- O której jest ten mecz? — Spojrzała na zegarek.
- O piątą.
- Za dziesięć minut?
- Tak.

Przez moment upajałem się ciszą. Zamknąłem oczy i balansowałem na granicy snu w stanie nierealnego, opiumowego szczęścia. I nagle pozbylem się wstyd. Nie wstydziłem się już swojej pobitej twarzy i poroźdierzanego garnituru, nie wstydziłem się obnażonych nóg, na których więcej było szram, szwów, blizn i siniaków niż zdrowej skóry, nie wstydziłem się znużonego, chrapliwego oddechu...

- Nie dostaniesz, biedaku, tej premii? — Ocknąłem się. — O czym ona mówi? — pomyślałem.
- I zapytałem głośno:
- O czym mówisz?
- O premii.

- Jakiej premii?
- Za mecz.
- Aaa. Chyba dostanę...
- Mój biedaku!

Usiadła na łóżku. Skopując pantofelki, zamierzała położyć się obok mnie, ale wstała.

Włączyłem telewizor. Weiskając koszulę pod pasek, patrzyłem w ekran. Rozjarzył się na chwilę, zgasł, poczem eksplodował fonią i obrazem.

— Dwudziesta minuta meczu — mówił zdenerwowany głosem sprawodawca. — Wciąż zero — zero.

Zrazu wydawało mi się, że mam jakieś głupie urojenia. Potem, śledząc akcje Krauzego, Babinowa, Jaskóły i w ogóle wszystkich chłopaków zrozumiałem, że dzieje się coś bardzo ważnego. Grali! Wspaniale grali. Tak, jakby walczili o życie! Stary, zdeprawowany Moll rozbił się ze wściekłą determinacją ataki Fortuny; aż kurzyło się jego śladem. Pinokio faulował rękami i nogami. Forester szarżował z pochyloną głową, budząc zgrozę wśród napastników. Jaros i Koptas poszli dwa razy na przebój, a ich porywające, uskrzydłone rajdy niebezpiecznie pacychwały bramką.

Byłem z nimi. Poczułem do nich wielką, sprawiedliwą miłość. Jednocześnie moja myśl pracowała w innym kierunku... Gdzieś tam w eterze skrzyżowały się telefony. Ktoś coś komuś ofiecał. Jedna oferta okazała się lepsza od drugiej oferty. Bardziej opłacało się wygrać niż przegrać. Ten gość, który przed tygodniem zaczął mnie w Cristalu, nie był wcale agentem Fortuny... To, i tylko to! tłumaczyło chimeryczne decyzje Patrona, gorliwość coacha i reakcję Krauzego na obiedzie.

Tak czy siak — toczyła się wspania-

Niepokoili mnie ten głos. Przykosiłem wiraż na placu Centralnym i wpadłem w ulicę, która prowadziła na stadion. Widziałem już jego masywną, wulkaniczną koronę, słyszałem głucho, groźny pomruk, który wydobywał się z czeluści. Gdzieś za mną wyla przeraźliwie syrena — nie kojarzyłem; grałem ciemnym pasem asfaltu rozciągając pedał gazu o podłogę. Zdziwiłem się, kiedy wyprysnął z prawej jakiś biały cień, spychając mnie do krawężnika i tarasując drogę.

Trzask drzwi. I już miałem go za szybą. Wasył, ogorzały, z trudem panujący nad nerwami.

- Dokumenty, proszę — powiedział.
- Chwileczkę? Jestem Maksymilian Dragan, muszę...
- Dokumenty!
- Podałem mu ściągnięte gumką kartoniki.
- Wzruszył je, cedił pod nosem:
- Przejechał pan przecinnie prezydenta Wilsona na czerwonym świetle.
- Ja?...!
- Sportowców też obowiązują przepisy. Zaraz... co z pana twarz?
- Drobniacz.
- Nie potrafił pan kogoś po drodze?

— Człowieku! — syknąłem, kiedy rozglądał się wewnątrz samochodu. — Z tego będzie ciężka afera. Cale miasto próbuje mnie zatrzymać. Cale miasto robi wszystko, żeby mnie nie grał. Spokojna głowa, powiem to dziennikarzom!

- Co im pan powie? — najechał na mnie przekrwioną facjatą. — Ze dobrze wypełniał swoje obowiązki?
- I tak was zdyswalifikują.
- Kogo?
- Fortune.
- A co to mnie obchodzi?

Drobna skrzyżnka radiowa wybuchła nagle nieopisanym rykiem. Ten sam ryk, niosący się bezpośrednio ze stadionu, zagłuszył słowa spikera. Przeciąglę, złowieszczy, triumfalny ryk stu tysięcy gardel! Dopiero po kilku dziesięciu sekundach spiker zdołał przebić się przez tumult. Zachłystując się, krzyczał:

— A więc jest, proszę państwa! Bramka!!! Jeden zero dla Fortuny w trzynastej minucie po przerwie!

Czułem jak krew ucieka mi z głowy. Jakis nowy układ — pomyślałem. Była to ostatnia kolejka sezonu. Wszystkie mecze rozgrywane tego dnia o jednej porze. Wszystkie stadiony w kraju powiązane zostały telefoniczną pajęczyną podsłuchów. Wielka gielda piłkarska osiągnęła swój pułgawy szczyt. Ceny z każdą chwilą szły w górę. Kto da więcej, temu radość. Kto mniej, temu porażka. Niewidzialne ręce przesuwały kloeki na szachownicy wyników.

— Muszę ukarać pana mandatem — powiedział wasacz. — W zasadzie mógłbym zabrać panu prawo jazdy.

— No więc, co pan woli? Mandat czy prawo, kurwa mać!

— Jak możesz? — wrzasnęła histerycznie Sylwia. — Jeszcze ja tu jestem!

- Uspokój się.
- Szarpnęła drzwiami.
- Wypuść mnie, ordynusie!
- Zaczeka!
- Wypuść mnie, słyszyś?
- Policjant wypisywał powoli boleczek. Widziałem jego brudne, okryżone przy skórze paznokcie.
- Pani może wyjść — powiedział.
- To moja sprawa!
- Zrozumiałe. Może pani zostać.
- Ile panu dali za ten numer? — spytałem.
- Przerwał pisanie.
- Zaden numer, rozumiesz pan? Ja to mam z tyłu! Ich i was, darmozjadów, wal-koni! Człowiek haruje jak wół, a taki cwaniak rozbija się mercedesem.
- To jest fiat.
- Wszystko jedno.
- Wiesz nie puścił mnie pan?
- Jak napiszę, to puszczę.

Podjął niespiesznie swój mózół, a ja zastanawiałem się, który z nas ciężiej pracuje. Wyrwał świstek, podał mi w dwóch palcach; tym samym gestem wręczyłem mu pięciusetkę. W chwili, kiedy chciał wydać mi resztę, wcisnąłem gaz; z ust dziewczyny wydobyło się głucho westchnienie. Stadion był tuż, tuż; huczał jak studnia wstęchła; dookoła, na niezmierzonymi przestrzeni, w uliczkach, w zaułkach i bramach, na trawnikach, skwerach i parkingach, wszędzie, gdzie skrawek wolnego miejsca — czekały samochody, tysiące rozlewających się jak powódź, roziskrzonych słońcem dachów. Podjechałem do służbowej bramy.

— Chcesz wyjść? — zapytałem.

— Nie — powiedziała. — Chcę być z tobą! — Żar, moc, skrucha, pojednanie. Wszystko w porządku, gdyby nie ten jeden jedyny, fałszywie brzmiący ton: kropla tranu w kieliszku szampana.

Strażnik pochylił się nad samochodem, a potem, rozszerzając oczy, jakby zobaczył świętego Jana Chrzyciela, zwolnił mi drogę. Zaparkowałem obok kortów tenisowych; wrzask w radio, ryk na stadionie, a tych dwóch bielskowskich odbija sobie piłeczkę... Wziąłem torbę pod pachę i ruszyłem z dziewczyną do szatni.

Człowiek przy drzwiach wpuszczał mnie bez słowa, a Sylwii pokazał inne wejście.

— Pani musi iść tędy — powiedział. — Do końca korytarzem i w prawo. Skinęła głową i uśmiechnęła się do mnie — jakoś tak ładnie, smutno, jak ktoś, kto jeszcze wczoraj nie miał nie do stracenia, a dzisiaj traci wszystko.

c.d.n.

KOMUNIKACJA

LEON PITKIEWICZ

TRAMWAJEM W KOSMOS

Radziecka stacja kosmiczna „SALUT 4” przebywa już na orbicie okołoziemskiej dwa lata i — jak wynika z komunikatu ogłoszonego niedawno — 25 grudnia 1976 roku przeprowadzono na tej stacji kolejną fazę prób technicznych i naukowych. Sprawdzone między innymi działanie urządzeń technicznych, dzięki którym utrzymuje się w stacji kosmicznej odpowiedni mikroklimat, pozwalający na przyjęcie kolejnej ekipy kosmonautów. Druga stacja kosmiczna „SALUT 5” przebywa na orbicie okołoziemskiej pół roku.

W radzieckiej stacji kosmicznej „SALUT 4” dwukrotnie przebywała załoga. Najpierw — płk. Aleksiej Gubariow i dr Georgij Greczko. Byli oni w Kosmosie przez miesiąc. A później, po raz drugi przez 63 dni płk. Piotr Klimuk i dr Witalij Sawastjanow.

Te przykłady pokazują, że w zasadzie rozwiązany został problem utrzymywania stacji kosmicznej na okołoziemskiej orbicie. Piszę w zasadzie, gdyż do rozwiązania pozostało jeszcze wiele technicznych i innych problemów. W każdym razie uczeni wierzą, że możliwe jest wybudowanie w przestrzeni kosmicznej ogromnych platform, na których mieściłyby się całe osady i fabryki. Teoretycznie jest to problem całkowicie do rozwiązania. Prowadzi się już obecnie odpowiednie studia i opracowuje projekty. Najwięcej kłopotu sprawia jednak problem komunikacji.

Radzieckie „saluty” i amerykańskie stacje kosmiczne „Skylab” wyszczelone były bez załogi, a następnie inna rakietą wynosiła statek kosmiczny z załogą, który dopiero w przestrzeni kosmicznej cumował do stacji, a załoga przesiadała się ze statku kosmicznego do stacji kosmicznej. Przyumowywany statek kosmiczny służył też do powrotu załogi na Ziemię. Do każdej takiej operacji niezbędne rakiety nośne i statki kosmiczne można było użyć tylko raz. Od dawna więc rozważano możliwość wybudowania takiego pojazdu, który można byłoby używać wielokrotnie.

We wrześniu 1976 roku konstruktorzy amerykańskiej firmy Rockwell International z Palmdale w Kalifornii pokazali „SPACE SHUTTLE” czyli coś w rodzaju tramwaju kosmicznego, nazywanego u nas często „promem kosmicznym”. Jest to pierwszy egzemplarz pojazdu kosmicznego, przy pomocy którego można będzie wielokrotnie udawać się w Kosmos, powracać na Ziemię i znów w Kosmos. Pojazd ten otrzymał nazwę „ENTERPRISE” — co oznacza przedsiębiorczość — i numer 101.

Pojazd nr 101 rozpocznie w 1977 roku rejsy próbne, jeszcze bez napędu własnego, a od 1979 roku pojazd nr 102 ma już rozpocząć normalne rejsy komunikacyjne. Jego zaletą jest nie tylko to, że można go używać około 100 razy, ale i to, że może lądować praktycznie na każdym lotnisku, choć buduje się dla tych pojazdów specjalne kosmodromy oraz lądowiska. Rockwell International ma do 1983 roku zbudować 4 dalsze takie maszyny.

Amerykańscy konstruktorzy obliczyli, że wyniesienie 1 kg ładunku na orbitę okołoziemską przy pomocy obecnie używanych rakiet kosztuje od 500 do 1000 dolarów. Natomiast koszt 1 kg ładunku wyniesiony przez wahadłowiec kosztuje około 160 dolarów. Jest to więc przedsięwzięcie opłacalne. Ale nie tylko ekonomiczne. Są jeszcze i inne względy, dla których opłaca się budować tego typu pojazdy kosmiczne.

Jak wynika z dotychczasowych eksperymentów naukowych i technicznych szkół i metal wytapiane w przestrzeni kosmicznej nabierają takich cech, jakie są nieosiągalne na Ziemi, a jakie są potrzebne we współczesnej nauce i technice. W przestrzeni kosmicznej można też produkować niektóre leki i materiały, które na Ziemi są trudne do produkcji. Warto więc — zdaniem uczonych — przedsięwziąć niezbędne wysiłki, aby zbudować taki pojazd, który umożliwiłby budowę stacji orbitalnych i komunikację z nimi. A właśnie „SPACE SHUTTLE” taką komunikację umożliwia.

„SPACE SHUTTLE” przypomina swoim wyglądem duży samolot pasażerski. Ma 37,19 m długości. Jego skrzydła mają rozpiętość 23,77 m. Posiada ładownię o wymiarach 18,5 m długości, 1,5 m szerokości. Może w niej przewieźć ładunek o wadze 29,5 tony. Jego załoga liczy 3 osoby, ale może też zabierać na pokład 7 osób. Czas trwania jednego rejsu: od 7 do 30 dni.

„SPACE SHUTTLE” posiada pęd własny, ale dla wyniesienia go w Kosmos dysponuje dwoma rakietami na napęd startowy i wielkim zbiornikiem z płynnym paliwem do napędu zasadniczego. Wykorzystane rakiety i zbiornik ładują na spadochronach i mogą być użyte ponownie. Przygotowanie pojazdu do następnego rejsu ma trwać do 10 dni. „SPACE SHUTTLE” osiąga orbitę o wysokości marszu na trwał do 10 dni. Nie jest to — jak na obecne potrzeby — zbyt kłopotliwym wysiłkiem, gdyż można było użyć wahadłowca jako wyrzutni rakietowej, ale to rozwiązało się możliwość użycia wahadłowca jako wyrzutni rakietowej dla osiągnięcia przez mniejsze pojazdy kosmiczne dalszych orbit. Planuje się na przykład już w 1980 roku wysłanie z pokładu wahadłowca satelity geostacjonarnego.

Wahadłowce mają stać się dla NASA podstawowym środkiem komunikacji kosmicznej. Zakłada się, że w latach 1980—1991 wahadłowce zrobią 370 rejsów w Kosmos. Praktycznie więc co tydzień startować będzie w Kosmos jeden wahadłowiec. Entuzjści „SPACE SHUTTLE” podkreślają, że jeden wahadłowiec będzie mógł zabrać ze sobą kilka satelitów i umieścić je na orbitach. Będzie mógł też zabierać uszkodzone satelity i przywozić je na Ziemię dla remontu i konserwacji. Załoga wahadłowca będzie mogła dokonywać niezbędnych drobnych napraw satelitów w przestrzeni kosmicznej. Dzięki temu nie będzie już potrzeby wysyłania satelitów w podwójną aperturę, aby w razie awarii — tak jak to się dzieje obecnie — uruchamiać zapasowe urządzenia. Wiedzy i produkcja satelitów będzie znacznie tańsza oraz będzie je można wyposażać w dodatkową aparaturę badawczą i obserwacyjną.

— Z chwilą zbudowania promów kosmicznych — stwierdził jeden z przedstawicieli NASA — podróże w przestrzeni kosmicznej staną się tak banalnym wydarzeniem, jakim dziś jest podróż samolotem do Europy.

Warto tu dodać, że przełączenie przy startach, jakie będzie odczuwać załoga i pasażerowie, będzie mniejsze od tego, jakie dziś odczuwają w rakietach. A więc pasażerowie wyruszenia w przestrzeń kosmiczną znacznie rozszerzy się, gdyż będą tam mogli się udać ludzie, którym dziś warunki zdrowotne na to nie pozwalają.

Alle program „SPACE SHUTTLE” ma też swoich przeciwników. Jak podał „U. S. NEWS AND WORLD REPORT” zarzuca się, że NASA stanie się „przewoźnikiem kosmicznym”. Już obecnie jej specjaliści projektują rozkład lotów oraz taryfy przewozowe.

— To tak, jak z ciężarówkami — stwierdził przedstawiciel Rockwell International, broniąc przedsięwzięcia NASA. Z chwilą, gdy jest sprzęt przewoźowy, przychodzi klient i frachtu i towar.

Na program „SPACE SHUTTLE” potrzeba około 8 mld dolarów. Już obecnie NASA rekrutuje przyszłe załogi wahadłowców, a wśród nich będą też kobiety. Już — jak podał „U. S. NEWS AND WORLD REPORT” — wpłynęły oferty od przeszło tysiąca kobiet. Z początkiem 1977 roku NASA ma wybrać 30 kandydatów i rozpocząć ich szkolenie.

Zdaniem krytyków programu „SPACE SHUTTLE” nie nie usprawiedliwia tak wysokich wydatków. Uważają oni, że wykorzystywanie dotychczasowych sposobów transportu ludzi i sprzętu w Kosmos — a więc przy pomocy jednorazowego użycia rakiet nośnych — jest o wiele tańsze.

— Za pieniądze, jakie przeznaczają się na prom kosmiczny, można by zbudować mnóstwo sprawdzonych już rakiet nośnych — powiedział przedstawicielowie „U. S. NEWS AND WORLD REPORT” jeden z krytyków tego przedsięwzięcia. Ale nie powiedział, że to również program, którym zainteresowane są władze wojskowe. Nie przypadkiem urządzenie startowe i lądowiska buduje się jednocześnie w Centrum Kosmicznym im. J. Kennedy’ego na Florydzie i w bazie wojskowej Vandenberg na zachodnim wybrzeżu. Nie przypadkiem też „U. S. NEWS AND WORLD REPORT” napisał między innymi:

„Ten dziwnie wyglądający pojazd stanie się kluczowym elementem obrony narodowej USA”.

Wahadłowiec, zwany też promem kosmicznym, może bowiem nie tylko wynieść na orbitę okołoziemską znaczną ilość satelitów, ale może też je stamtąd... zabierać. A jak wiadomo istnieje satelitalny system ostrzegawczy i obserwacyjny. Można więc przy pomocy promu kosmicznego likwidować taki system, można też — jak utrzymuje „NEWSWEEK” — zabrać „całą stację „SALUT” i przywieźć ją na Ziemię”. Amerykańskim wojskowym marzy się nawet umieszczenie broni w przestrzeni kosmicznej i dowodzenie tam wahadłowcem... amunicji. Na szczęście prezydent elekt — J. Carter w wywiadzie dla tygodnika „TIME” podkreślił — jako pierwszoplanowe zadanie — zawarcie porozumienia z ZSRR o ograniczeniu zbrojeń strategicznych. Miejmy więc nadzieję, że Kosmos stanie się tylko miejscem rywalizacji, a także współpracy naukowców i kosmonautów, co już przecież zapoczątkowała wspólna wyprawa „Apollo — Sojuz”.

Niezależnie jednak od marzeń wojskowych, którym się wszystko zawsze kojarzyło z wojną, dla dalszego rozwoju wypraw kosmicznych, dla prowadzenia dalszych badań w Kosmosie niezbędne są prace nad budową takich pojazdów, które umożliwiłyby wielokrotne podróże w przestrzeni kosmicznej. „SPACE SHUTTLE” otwiera drogę, dowodzi, że dysponujemy już pełnymi warunkami technicznymi dla budowania kosmicznych tramwajów.

ARCHEOLOGIA

Kto wie, czy niebawem nie wyjaśni się jedna z najbardziej tajemniczych zagadek historii podboju Meksyku przez Hiszpanów, mianowicie sprawa skarbu ostatniego cesarza Azteków, Montezumy II? Niedawno bowiem pewien meksykański rybak natrafił w czasie połowu na szczątki zatopionego wraku hiszpańskiego galeonu, który, jak się okazało, przewoził na swoim pokładzie złoto. Rybak ów, nazwiskiem Francisco Rivera, mający opinię człowieka trudniącego się nie zawsze „czystymi” interesami, dokonał swego odkrycia w pobliżu Vera Cruz. Czy znaleziony skarb jest właśnie owym sławnym skarbem Montezumy — rozstrzygnąć archeologowie, niemniej, jak już dziś stwierdzili niektórzy specjaliści, dokonane odkrycie można uznać za jedno z najważniejszych dotychczas osiągnięć w poszukiwaniach śladów cywilizacji azteckiej.

A oto jak wyglądała historia legendarnego skarbu. Kiedy Hernando Cortez wyładował na kontynencie amerykańskim, a dokładnie w okolicach Vera Cruz, w lutym 1519 roku, na rytyrium dzisiejszego Meksyku, rozciągało się panowanie azteckiego cesarza Montezumy II. Nagle pojawienie się Corteza bardzo zastanowiło cesarza. Zadał sobie pytanie, czy ów intruz nie jest przypadkiem bogiem Quetzalcóatl, który był obiektem szczególnego kultu Indian Tolteków. Aztekowie podbiwszy swego czasu tereny zajmowane przez Tolteków i wyparłszy z nich prawowitych mieszkańców tych ziem zastąpili kult łagodnego Quetzalcóatla, Huizilopochtli — okrutnym bogiem-Słońcem, który „żywił się” krwią przeznaczonych dlań na ofiarę jeńców.

Kiedy zaczął z bliska oglądać resztki owego dziwnego wraku, znalazł złoto. Jego ilość pozwalała mu spokojnie myśleć o przyszłości, wygodny był wydatek się mieć zapewniony do końca życia.

Natychmiast postanowiono wysłać na wskazane przez rybaka miejsce ekipę specjalistów — archeologów, celem zbadania tajemniczego znaleziska. Ekspedycja złożona z blisko czterdziestu nurków przystąpiła niezwłocznie do pracy. Na jej rezultaty nie trzeba było długo czekać. Wkrótce bowiem okazało się, iż znaleziono nie jeden, a dwa wraki, z których wydobyto ok. 6 kilogramów drogich kamieni i ozdóbnych wyrobów ze złota. Czy należały do skarbu, który Cortez wywiózł z Meksyku?

ZŁOTO AZTEKÓW

Alle bogowie, jak wiadomo, mszczą się. Toteż jak głosiła legenda, miał nadejść dzień, kiedy to Quetzalcóatl upomni się za swoją krzywdę. I oto zachodziła akurat nieoczekiwana zbieżność wydarzeń. Quetzalcóatl miał się bowiem pojawić pod postacią brodatego mężczyzny o blond włosach, zaś data jego powrotu na Ziemię, według kalendarza indiańskiego przypadała właśnie na rok 1519 naszej ery.

Montezuma wysłał więc do Corteza swych przedstawicieli, którzy mieli wręczyć dziwnemu przybyszowi bogate dary, aby go sobie zjednać. Wraz z nimi cesarz polecił udać się na to spotkanie czarownikom, w nadziei, że ich magia będzie silniejsza niż moc białego bóstwa. Zabiegi te okazały się być jednak daremne. Jesienią, praktycznie bez walki, Cortez wraz ze swą małą, liczącą niespełna 400 ludzi, armią wkroczył do Tenochtitlanu (Meksyku), gdzie Montezuma rad nieraż przyjął go z przepychem. Siedzibą Corteza stał się pałac ojca cesarza Azteków.

Pierwszym dążeniem Hiszpanów było wybudowanie kaplicy. W tym miejscu oddajmy głos Bernalowi Diaz del Castillo, hiszpańskiemu żołnierzowi a zarazem bliskim towarzyszowi Corteza, który tak oto pisze w swym dzienniku wyprawy:

„Wszystkiego byliśmy ciekawi, wszystko staraliśmy się poznać. Pewnego dnia, gdy szukaliśmy odpowiedniego miejsca pod budowę ołtarza, dwóch żołnierzy, między innymi Yanez, który był cieślą, dostrzegł w murze ślady wrót. Kamienie były w tym miejscu starannie pobielone i wypolerowane (...). Yanez podzielił się swoim spostrzeżeniem z Juanem Velasquezem de Leon i Francisco de Lugo, będących jego dowódcami, a ci z kolei powiadomili o dziwnym odkryciu Corteza. Postanowiono, zachowując ścisłą tajemnicę, otworzyć owe wrót Cortez wraz z kilkoma oficerami weszli jak pierwsi: gdy znaleźli się wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wyznać, iż jestem całkowicie pewien, że nagle na świecie nie istnieje starb który mógłby się z tym porównywać. Ma się rozumieć, niczego nie ruszyliśmy, wrota zamknięto, jak były, zaś wewnątrz, to co zobaczyli, odebrało im głos. Stali bez ruchu, jakby byli porażeni jakąś niewidzialną mocą. Wszędzie, wokół piętrzyły się sterty złotych przedmiotów: talerzy, pływ, sztab, posągów oraz kamieni szlachetnych (chachalhuia). Widziałem to również i muszę wy

Łódzka szopka kulturalna



RAJMUND REMBIELIŃSKI

(mówi)
Jam Rajmund Rembieliński — równy wojewodzie
założyciel miasta, historyczna gwiazda.
Wprowadzam wam na scenę w harmonii i zgodzie
Tuzy łódzkiej kultury. Do roboty — jazda.
Nie pchaj się, Ekiert! Nie dyryguj Pospiech!
U mnie ma być porządek. Poręba nie gadaj!
Kłosowski nie podskakuj, większy nie urośniesz!
Spokój za kulisami! Za chwilę parada.
Oto imię Wojciech Ekiert — od kultury władza
Słuchać — nie przeszkadzać!



**WOJCIECH
EKIERT**

(mówi)
Ja — najwyższy urzędem
najsłuszniejszy wzrostem.
Żeby to Sztuka rosła
tak jak ja urosłem.
(śpiewa)
Kultura mi wszystko wybacz
Pracę zamieni mi w śmiech.
Ja umiem tak Pięknie tłumaczyć
gdzie słuszność, gdzie racja, gdzie grzech.
Moge ja przekłać w rozpacz
gdy raptem okaże się zła.
Kultura mi wszystko wybacz.
Kultura? L'etat c'est moi.

RAJMUND REMBIELIŃSKI:

Teraz dla przeciwwagi postać nieco inna.
Talent wielki — osoba cokolwiek nizinna.
Oto z Białej Podlaskiej pan Roman Kłosowski
powie, jak los komedianta niesie same troski.

**ROMAN
KŁOSOWSKI**

(mówi)
Mówią: „Romek się nie błażnij
znów masz rozstrojenie jaźni.
Szwejkem żeś czy Maliniakiem
czy filmowym szoferakiem”.
Serce mam od tego chore
bom ja przecież Dyrektorem.



**KAZIMIERZ
DEJMEK**

(mówi)
Słyszę słowo „dyrektor” — czyżby o mnie mowa,
który Teatr Nowy prowadzi od nowa?
(śpiewa)
Wróciłem,
po wielu, wielu latach
i jakaż tu zapłata
za mojej sławy kwiat.
Krytycy
już mnie nie rozpieszają
nie pieją, nie cmokają
tak jak za dawnych lat.
(mówi)
Ale po cóż mi ta gala
i tak w Nowym pełna sala.

CHÓR DZIENNIKARZY:

(śpiewają)
Panowie narzekają i pewno rację mają
że prasa bywa trochę niedysponowana.
Bo jeden mówi tak, a drugi mówi — nie
a życie robi to, co samo chce.
Nudno
na szpaltach i na tamach
lecz dla nas to nie dramat.
Trudno
Expressy i dzienniki
stosują wciąż uniki
i nie poradziśz nic.

RAJMUND REMBIELIŃSKI:

Dziennikarze umknęli do żartów nie skorzy
Ktoś ich goni — już widzę — sami dyrektorzy.

CHÓR DYREKTORÓW:

My się prasy nie boimy
uha, uha, ha.
Zastanęmy, zakrzyczemy
uha, uha, ha.
Gdy nas tylko prasa ruszy
uha, uha, ha.
Wytargamy ją za uszy
uha, uha, ha.
Niech nam prasa tu nie kręci
uha, uha, ha.
Mamy zawsze dobre chęci
uha, uha, ha.
A że czasem nie wychodzi
uha, uha, ha.
To już prasy nie obchodzi
uha, uha, ha.



RAJMUND REMBIELIŃSKI:

Już pobiegli. Lecz ktoś tu zbliża się ukradkiem.
Wygląda na filmowca. Ten wstawi nam gadkę.
Jak mi mówią — to Bohdan z Poręby jest pono.
Przemawia bardzo słodko, ale płaci słono.

**BOHDAN
PORĘBA**

(mówi)
Mam tu budżet, mam tu biuro
i stosunki dobre z górą.
Władza lubi mnie i lud.
Kiedy jednak przyjdzie chwila
że wyfrunie mi z „Profila”
jakiś szlagier, jakiś cud.
Praca ma nie być jaka
do pomocy mam Wawrzaka.
(śpiewa)
„Profilem” jestem
i zawsze pro nie trois quarts.
„Profilem” jestem
i z wiatrem wciąż, nigdy pod wiatr.
Eh, „Profile”, eh, „Profile”
satysfakcji dają tyle...

RAJMUND REMBIELIŃSKI

Za ile?



**WIESŁAW
GARBOLIŃSKI**

(mówi)
Jam prezes Garboliński, Garboliński rektor
Mam podwójne kłopoty — czy też o tym wie kto?
Jeden pyta: „za ile”, inny pyta: „kiedy”,
na dwóch stołkach siedząc — niełatwe zadania.
Nie wiedziałem, że takiej napytam se biedy:
podwójne konferencje, plany, sprawozdania...
I nawet cały Związek jest nie bardzo spójny:
tu twórca — tu projektant. Dylemat podwójny.
Tu rządę po pracownię, tu rządę do wystaw,
a ja cudu nie sprawię, bom jest realista.



**ANTONI
SZRAM**

(mówi)
Prezes realista? Muszę to pochwalić.
Ja także ogromnie doceniam realizm.
Pozwólcie, że się przedstawię wam:
jestem dyrektor Antoni Szram.

RAJMUND REMBIELIŃSKI:

Gdy ktoś secesji nie pochwali
on od razu przez łeb wali.

ANTONI SZRAM

(śpiewa)
Mały pokój przy magistracie
miałem przez lata bez mała pięć
Dziś kompletuję gracie przy gracie
gdyby wyrzucić miałby ktoś chęć.
A kiedy — po co? — pyta przyjaciel
gromadzę graty i stosy akt,
odpowiem tylko: „Dzięki mnie macie
Muzeum Miasta. Doniosły fakt”.
Małe muzeum przy Ogrodowej
to moje szczęście, to moje sny,
małe muzeum przy Ogrodowej
a w tym muzeum po prostu my.



plk
MARIAN
GWIZDKA

(mówi)
Jestem prezes, przyjaciel Sztuk Pięknych i strażak
Marian Gwizdka do usług. Mnie trud nie przeraża.
Odpoczynek nie dla mnie. W sercu coraz smutniej.
Muzy do mnie przybiegły, skarżąc się okrutnie.

(śpiewa)
Terpsychora mi się żali:
„Nikt do Sztuki się nie pali”.
Melpomena mi marudzi,
że w teatrach mało ludzi.
Placzą Klio i Erato,
że coś skąpo jest z zapłatą.
Uskarżają się dziewczęta:
„Nikt o Muzach nie pamięta,
bo ważniejszy futbolista
niż liryki głębia czysta...”

RAJMUND REMBIELIŃSKI:

Oto nowa postać i dyrektor nowy.
Czy maestro Pospiech na scenę gotowy?



WŁODZIMIERZ
POSPIECH

(mówi)
Narzekań słyszę. Coś jakby znajome,
ale trudno. Od dzisiaj zajmuję się domem.
(śpiewa)
Te powroty do domu
wymarzone powroty.
Te marmurki, mozaiki,
balet, chór a capella
i świadomość jak z bajki
kiedy człowiek wie o tym
że już może gdy zechce
głośno krzyknąć „Kariera!”

RAJMUND REMBIELIŃSKI:

A któż to teraz jawi się przed nami?
To wydawca — Zaorski Jacek z umowami.

JACEK
ZAORSKI

(śpiewa)
To dla chwały mojej oficyny
w płataninie przepisów i akt,
wymijając miny, drukuję książeczyny
choć odczuwam bestsellerów brak.
Oj, drogo, drogo,
z pisarzami,
ciągle biegna do kas z umowami
Zaczekaj rybko
nie tak szybko
Wydawnictwo już książek ma dość.



ANDRZEJ
JÓŻWIAK

(mówi)
A publika wciąż nie dość ma uciech estrady.
Woli big-bit od książki. Nie ma na to rady.

RAJMUND REMBIELIŃSKI:

Andrzej Józwiak to mówi. A on zna się na tym.
Repertuar ma słuszny, choć niezbyt bogaty.

ANDRZEJ JÓŻWIAK:

(śpiewa)
Estrada jest dobra na wszystko,
Gdy poziom kultury zbyt nisko
Estrada podniesie ci go.
Estrada to jest kliniek
na nudnych teatrów uczynek
na książkę rzuconą na rynek.
Estrada to sposób z wydzwiewkiem
na złą estradową piosenkę
na źle śpiewającą panienkę.
Estrada obrzydzi ci ją.

RAJMUND REMBIELIŃSKI:

Oto nowa postać pędzi małym Fiatem
Człek bywały — za pan brat z całusińskim światem.
Bogusław Sikorski — tak się mąż ten zowie
Był w KAW-ie na kawie. I cóż on nam powie?



BOGUSŁAW
SIKORSKI

Cheecie folder? cheecie plakat?
Właśnie mam w drukarni vacat.
Cheecie wierszyk? panegiryk?
Ode, fraszkę albo liryk?
Sonet okolicznościowy?
Macie z głowy!

RAJMUND REMBIELIŃSKI:

I już pobiegł. Na przelaj przez Piotrkowską bieży.
Lecz nadchodzi ktoś nowy — red. nac. Wawrzak Jerzy



JERZY
WAWRZAK

Dochodzą mnie odgłosy, że „Odgłosy” pono
zanudziły spore czytelników grono,
że poeci się klócą o akcenty jakieś,
że nowele filmowe mamy byle jakie,
że nakłady za małe a zebrań za wiele
(we wtorki, poniedziałki i czasem w niedzielę)...
Ja już nie chcę dzisiaj tego dłużej słyszeć
— pojadę do domu i powieść napiszę.

RAJMUND REMBIELIŃSKI:

Oto staje przed wami Jasiu Kobuszezwczak.
Teatr, film, telewizja — każdy go rozpieszczą.



JAN
KOBUSZEWSKI

(śpiewa)
Pamiętam była jesień
Teatr Nowy z ambicjami
Sławę mi przyniesie
dyrektora fart.
Kazimierz Dejmek z uśmiechem dawał klucz.
Odszedłem potem nagle
Dziś powiem wam wabi mnie film
I wtedy zrozumiałem
tak się kończą pożegnania
czas już udać się spać.
(mówi)
Dobranoc państwu!

RAJMUND REMBIELIŃSKI:

I tak ze Starym Rokiem skończyła się szopka,
zatem mistrz ceremonii mówi wszystkim: „Kropka”.
Tuż wróć do talii, widz niech zaśnie smacznie.
W Nowy Rok nowa szopka da capo się zacznie.

Koniec

Rys. STANISŁAW
IBIS-GRATKOWSKI

(Obszerne fragmenty niniejszej szopki publikował gru-
dniowy numer „Kalejdoskopu” oraz prezentowała łódzka
rozgłośnia Polskiego Radia w dniu 1 stycznia br.).

PANI DOKTOR

Film „Doktor Françoise Gailland” należy do tych utworów, które mogą liczyć na powodzenie bez względu na to, jak ocenia je krytyka zawodowa. Decyduje o tym formuła „coś z życia”, która w realizacji najchętniej przez publiczność przyjmowanej zyskuje kształt melodramatu. Tajemnica popularności melodramatu tkwi między innymi w tym, że wykorzystuje on wafki i układy losów ludzkich, których powtarzalność w samym życiu czyni je bliskimi widzom. W tej sytuacji programowa niechęć krytyki artystycznej wobec melodramatu mija się z zainteresowaniami i gustami szerokiej widowni. Trudno kogoś, kto w opowiadanej historii dostrzeże najczęściej poprzez własne doświadczenie, dramat, przekonać, że ma do czynienia z melodramatem, czyli utworem pozbawionym pewnej głębszej wartości uogólniającej problemy i sens życia. I jeśli na dodatek melodramatyczna treść zyska sprawna realizację oddziaływająca zwłaszcza na sferę emocji, wszelka dyskusja kwestionująca walory utworu staje się w zasadzie bezprzedmiotowa. Uwaga ta dotyczy także filmu „Doktor Françoise Gailland”, którego reżyser Jean-Louis Bertucelli dobrze zna reguły gatunku.

Film zrealizowany został w oparciu o powieść Noelle Lorient pt. „Krzyk”, która, jak wiecie, niesie, zrobiła wielką karierę wśród francuskich czytelników. Na powodzenie powieści i adaptacji należy również i film — składa się kilka czynników. Po pierwsze, zarówno czytelnicy jak i widzowie lubią romanse, a współczesny romanse odczytujemy, nieestety, rzadkością. Po drugie, autorka powieści i scenarzysta filmowego główną postać tego romanse uczyniła kobietą, której typ i osobowość jest odbiciem przemian społeczno-obyczajowych naszych czasów, a która znów nader rzadko znajduje swe portrety zarówno w literaturze jak i w filmie. Po trzecie Noelle Lorient w romanse opowieść wplotła wątek, który ostatnio stał się jej tematem centralnym. Mowa tu o jednym z najstraszniejszych zagrożeń stojących przed człowiekiem — o chorobie, którą nazwano rakiem.

Françoise Gailland jest lekarką i, jak autorzy filmu sugerują, lekarka znakomita, 40-letnia, niezwykle czynna zawodowo kobieta jest jednocześnie matką dwójki dorastających dzieci. Jej małżeństwo jest od lat tylko formalne i pełna kobiecego uroku Françoise szuka zapomnienia w ramionach kolejnych kochanków. Jak więc widać film ukazuje problemy towarzyszące życiu pani doktor, a więc odnajdujemy w nim problemy zawodowe, małżeńskie i rodzicielskie i wreszcie — miłość. Prawda, że są one ledwie dotknięte, jednak zrzeczność w ich ukazaniu sprawia, że przykuwają uwagę i przynoszą rysunek problemów życia współczesnej kobiety, który sam w sobie wystarczałby dla zapewnienia filmowi sukcesu, równego książce. Wszystko to jednak, co składa się na życie doktor Françoise zostaje ostatecznie zdeteminowane przez jej chorobę.

Gdy Françoise Gailland jako lekarz staje przed chorym, stara się swym pacjentem, którym pomoże już inaczej nie może, kłamać, stworzyć nadzieję, pomóc przetrwać w pewnym przynajmniej spokoju ostatnie dni życia. Gdy nadejdzie dzień, w którym dowie się o tym, że sama jest chora, stanie wobec tego faktu z pełną świadomością swego losu. Pozostanie już tylko siła woli i odwaga. I choć o presji gatunku zwanego melodramatem świadczy również tok zdarzeń jak i zakończenie filmu, trudno, oglądając go, nie przeżywać wraz z bohaterką jej dramatu. Budzenie wzruszeń jest przecież siłą tego gatunku a ich zracjonalizowanie przychodzi znacznie później.

Wszystko to, co zostało powiedziane, powiedziane by nie było, gdyby nie największy atut filmu o doktor Françoise, którym jest aktorstwo wspaniałe Annie Girardot. Ona decyduje o tym, że film Bertucelli, gdzie droga melodramatycznej latwizny, zyskuje awa silę zupełnie niebanalnego wzruszenia. Annie Girardot jest bez wątpienia najsilniejszą aktorką francuskiego filmu i jedną z największych, jakie kino zna w ogóle. Bez filmów tylko dzięki jej udziałowi wnosiło się na wysoki poziom artystyczny. Girardot była i jest absolutnym sublimatem kobiecości, tej, której wcale nie musi określać uroda. W osobowości Annie Girardot zakłada jest nie opisana w słuce współczesnej właśnie wsobolizacja kobiecości, która określiła społeczno-obyczajową rewolucję naszych czasów. Portrety kobiet stworzone przez Girardot cechuje zawsze niezwykła zmysłowość idea w parze z inteligencją i wybujała wrażliwość psychiczna, poczucie własnej wartości i godności, i jednocześnie zagubienia i zależności od świata mężczyzn. Cały zespół sprzeczności towarzyszący życiu współczesnych kobiet znajduje swój wizerunek w postaciach, które kreuje Annie Girardot.

Obserwując jej losy aktorskie, można też dostrzec coś, co znacznie charakteryzuje sytuację współczesnych kobiet. Tej wspaniałej aktorce rzadko powierza się role w wybitnych filmach. Najczęściej dzwiera ona swymi kreacjami filmy pokroju „Doktor Françoise Gailland” czy „Umrzeć z miłości”. Oduosi się wrażenie, jakby panowie reżyserowie bali się jej wielkiej osobowości, która przywiliaby dramatyzm mężczyznom. Jeden jedyny raz Annie Girardot zagrała rolę na miarę swego talentu. „Aka jest naprawdę, pokazał nam Lucien na Vincent w filmie „Rocco i jego bracia”. Girardot w tym filmie jest tegoż fenne fatalne. Takich postaci współczesni mężczyźni w swych współczesnych książkach czy filmach nie lubią jednak pokazywać.

EWA NURCZYŃSKA

HISZPANIA

JAN BĄBIŃSKI

MARTINE Z MADRYTU

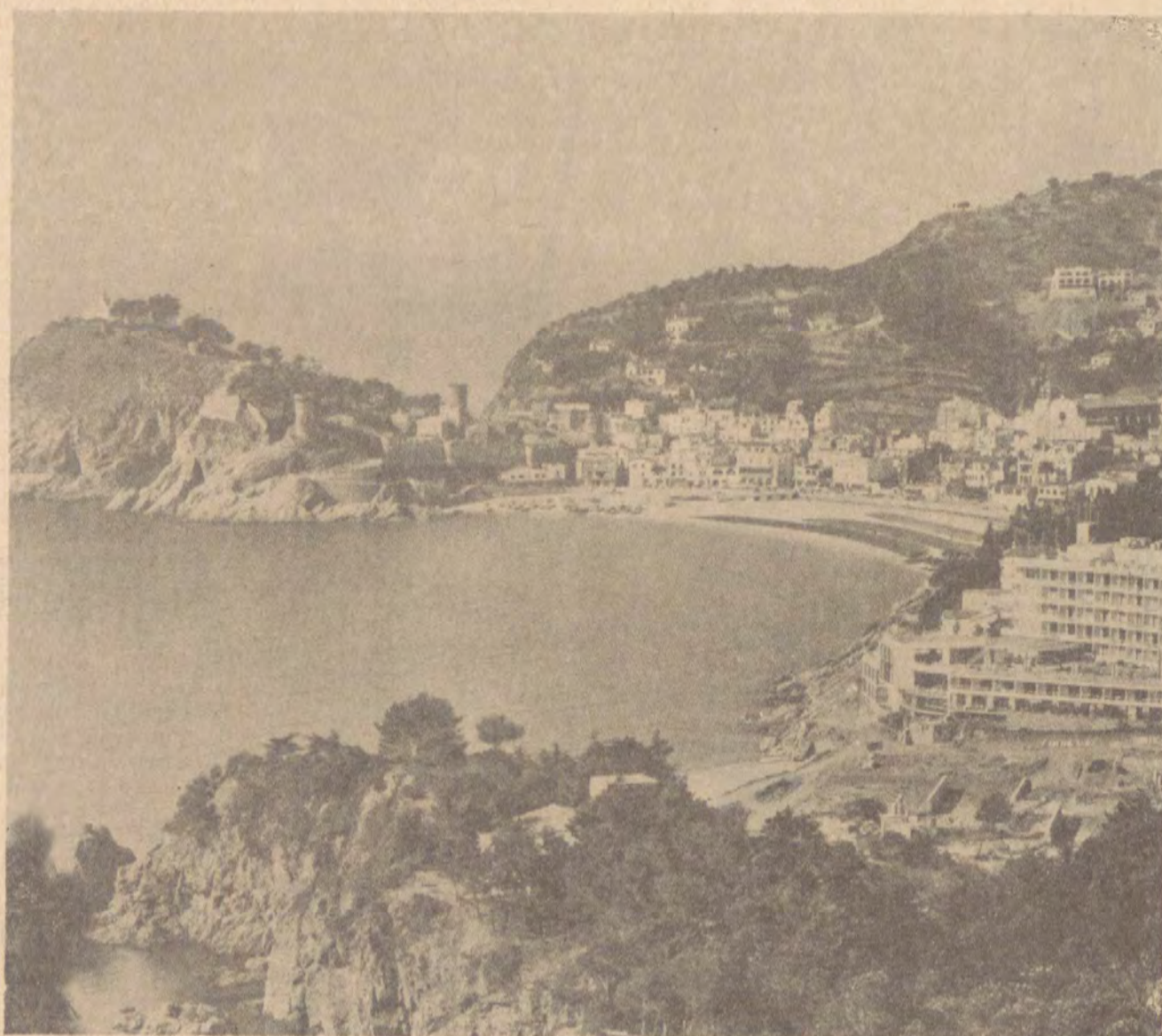


Foto: Archiwum

Wybrałem się do parku z szarym niedzielnym świtem, kiedy hotel „Louis XVI” pogrążony był we śnie. Nie mogłem zasnąć tej nocy. Złe spałem poprzedniej. Hiszpania potrąciła jakąś strunę w mojej duszy, która drgnęła i być może długo będzie się odzywać. Jest coś w tym rozslonecznionym kraju, co każe wszystko przeżywać głębiej, pełniej, intensywniej. Co budzi też niepokój. Unoszą się nad tym przejmującym w swym pięknie kraju mistyczne duchy, które zmuszają do refleksji, do spojrzenia w głąb siebie samego.

Błądząc po parku del Retiro w Madrycie i rozmyślam.

Park jest ogromny. Jest jednym z największych na tym starym kontynencie. Park jest cudowny. W środku staw kilometrów niemalże długości. Po bokach alejki i ścieżki. Na wznieśleniach pomniki. W całym Madrycie, w całej Hiszpanii tyłu powitykano jeźdźców na szpizowe postumenty, że granicy to z pomnikomania.

Chodzę od paru godzin po parku del Retiro i oddycham z rozkoszą. Powietrze jest czyste i rześkie. Spoglądam na cedry i platany. Słucham śpiewu ptaków. Palm tu nie ma. W Madrycie dmucha chłodem już w październiku. W listopadzie ranki są mroźne. Strzeliste palmy ciągną się długimi szpalarami hen, na południu. Porastają skwery i parki Andaluzji. Zdobia prywatne ogrody i publiczne gmachy. Kadyks tonie w palmach.

Jakże mi się przydała wędrowka po parku del Retiro w Madrycie w niedzielne przedpołudnie. Wreszcie zyskałbym trochę czasu na króciutkie chociażby przetrwanie tych wszystkich impresji, które pchają się zewsząd wielką falą na utrudzonego turystę. Ale chaos jest. Chaos w myślach i odczuciach pozostał. Prawdopodobnie długo jeszcze będę przetrwał, czego się na Iberyjskim Półwyspie nalykałem. Wszystko to nie tak. Inaczej sobie Hiszpanię wyobrażałem. Inaczej wyszło. Poważniej wyszło. Dostojniej. Może też smutniej.

Martine nie kryła przygnębienia. Zdawać się mogło, że jest u kresu swych sił.

— Dlaczego? Co się stało? — spytałem.

— On odszedł — w oczach dziewczyny pokazały się łzy — Pomyśl tylko, ślub miał się odbyć za tydzień. Mężczyźni są straszni.

Przypatruję się krocącym po parku Hiszpanom i coraz mniej ich rozumiem. Rycerski Hiszpan, dumny hidalgo, Hiszpan porywczy, z temperamentem, ognisty hombre, wieczny don Juan, zdobywca i męski, władcy i w ogóle? Czy aby na pewno? Coraz więcej dąży mnie co do tego wątpliwości. Widzę ludzi bez uśmiechu, zamyślonych, powiedzianych ponurych. Widzę mężczyzn niskich, nijakich, milczących. I dochodzę z wolna do wniosku, że Hiszpan choć też po południu, jest biegunem Włocha. Hiszpan

jest zimny i szary. Jest zamknięty w sobie.

Napoleon napisał kiedyś, że „Hiszpanie to rasa słaba, głupia i zabobonna”. Miał Napoleon powody by tak napisać. Hiszpanów nie cierpiał. A nie cierpiał z tego względu prostego, że Hiszpanie nigdy karku przed nim nie ugięli. Hiszpanie są słabi? Może są. Jakim jednakże cudem wdarli się żelaznymi kochortami w silne państwa Ameryki, rozbijając w pył i proch wszystko co im na drodze stało?

Hiszpanie są głupi? A te zastępy pisarzy i architektów? A ci malarze, spośród których Velazquez zaliczany jest do najgenialniejszych twórców wszystkich czasów. A ci współcześni już wielcy: Picasso, Miró, Dali, Casals czy Falla, którego podobizna zdobi hiszpańskie banknoty? Hiszpanie są zabobonni? Być może. Wydaje się, że tak jest rzeczywiście. Pod warunkiem, iż wiarę w rzeczy nadprzyrodzone uznaje się jako zabobon. To prawda, religijny mistycyzm ma w Hiszpanii silne korzenie.

Martine chodził do kościoła, modlił się i spowiadał. Zna angielski i francuski. Jeździła po świecie. Oglądała na własne oczy puste katedry francuskie i opustoszałe świątynie Florencji. Wie, że nad kościołami Zachodniej Europy dmie wicher przebrzmiałej już choć wielkiej ognisli historii. Nie ją to nie obchodzi. Upięto ją w gorset. Mimo coraz częstszych odruchów buntu tego gorsetu nie zrzuca.

— Słuchaj, czy ty wierzysz w Boga? — Martine spogląda mi badawczo w oczy.

— Nie, nie przypuszczam, a jeśli wierzę, to w takiego Boga, którym jest cały wszechświat.

— Jednak w coś wierzysz — uspokaja się Martine.

Martine jest smukła. Porusza się lekko i elastycznie. Zdaje się nie dotykać stopą ziemi. W jej ruchach jest coś zmysłowego. Martine ma wielkie gorące oczy urodzonej hurysy. Takie bezdenne. W które patrzy się patrzy i niechętnie wzrok od nich odwraca. W jej twarzy jest coś z fresków Goya. To jedna z tych hiszpańskich dziewcząt, które w jednym krótkim roku rozkwitają do triumfującej dojrzałości balzakowskich kobiet. Potem szybko więdną i popadają w mroczną i bolesną zadumę. Nigdy jednak nie wytracają palącego blasku w o-

czach. Piękna jest Martine. W jej rysach odmalowana jest dojrzałość, niewinność i rezygnacja. Martine jest śliczna. To chodzący grzech, który czeka na spełnienie.

Martine powiada:
— Zazdrość cię mam.
— Czego? — pytam.
— Swobody, każdy z was robi co chce i nie nikomu do tego.

Wciąż błądząc po parku del Retiro, po grubym żółtym kobiercem opadłych już liści i zastanawiam się jacy są Hiszpanie.

Czy typowym Hiszpanem był Cervantes czy może Lope de Vega? Kiedy w La Mancha pokazywano stojące dwa wiatrak na wzgórzu, z którymi potykał się Don Kichot, przypominał sobie, że Cervantes siedział w więzieniu. Właściwie czterokrotnie był osadzony w celi. Po raz ostatni, gdy skończył 57 lat. Zarzucono mu popełnienie morderstwa. Później go oczyszczono. Plama jednak została. Ta więzienna. I uraz pozostał. Psychiczny. Lope de Vega też swoje odsiedział. Kto wie czy to nie Lope de Vega uosabia sobą dramat hiszpańskiego charakteru i rozdarłej namiętności tragedię hiszpańskiej duszy.

Lope de Vega napisał 1500 utworów scenicznych.

Ten niepoprawny Don Juan do końca swych dni przesłakiwał z kwiatuśką na kwiatek. Zostawił po sobie wianek cały nieślubnych dzieci. Zapach kobiety go obezwadniał. Mężatki i młode ładne dziewczęta zbijaly go z nóg nawet wówczas, gdy jako ukochany syn Kościoła przemierzał zaulki Madrytu w zakonnicznym habicie. Lope de Vega cierpiał, pokutował i grzeszył. Swoje odsiedział w karczerze. Obracał się przecież często wśród stręczycielek i zwykłych złodziei. Nie co ludzkie obce mu rzeczywiście nie było. Goya też dostał się za kratki.

Martine śmieje się z przymusem.

— Wiesz co, u nas mówi się, że prawdziwy Hiszpan przynajmniej raz w życiu dostaje się do „carcela”.

— Prawdziwy? To znaczy jaki?

Martine nie zastanawia się ani sekundę.

— Prawdziwy, więc dumny i honorowy, taki co broni swej niezależności.

Martine rzuca okiem na kiosk oblepiony papierowymi kobietami. Wszystkie te dziewczęta są „au naturel”. Bez listka nawet figowego. Nagoc była z początku szokiem. Już nim nie jest. Po śmierci dyktatora pewne zakazy uchylono, pewne słabawy uniesiono nieco wyżej. Pornografia trafia już wszędzie. Widzę jak młody ksiądz, rzucając za siebie bojaźliwym wzrokiem, obchodzi kiosk dookoła. Jest tak wcześnie, że ulice są jeszcze puste. Ksiądz krąży wokół kiosku, krąży i staje się coraz bardziej niespokojny. Wpatruje się w kobiece ciała rozszereżony wzrokiem... Widzę jak hote-

lowy recepcjonista z wyrazem gorącego napięcia w oczach wpatruje się w bujne figury dziewcząt rozlewające się różową bielą po kartkach „Erosu”. Recepcjonista dostaje wypieków na twarzy. Nie słyszy, że ktoś prosi o klucz do pokoju five, zero, seven. Co za blondyna. Boże święty, Boże miłosierny...

Snuje się po Madrycie przyzajony erotyzm, który pewnego dnia wybuchnie z taką siłą, że przyćmi wielkość londyńskiego Soho. Hiszpanki spalają się na razie we „flamenco”. Jak kiedyś spalały się w haremach w oczekiwaniu na sułtańskie jabłko. Na razie... Martine się śmieje.

— Hiszpanki są trudne. Albo małżeństwo, albo nie z tego. Dlatego nasi chłopcy rozglądają się za turystkami, które nie sobie z tego nie robią, że z kimś się prześpią. Zupełnie jakby zjadły jeszcze jedno ciastko z kremem.

Nad Hiszpanią przelatuje wicher, którego nateżenie wciąż się nasila i nasila. W witrynach dużych madryckich księgarni leżą dzieła Lenina i przewodniczącego Mao. Tuż, tuż rozpościerają się dwa grube tomska „Kama-Sutra”, indyjskiej sztuki miłosnej. Stos spoczywa pośrodku biografii Franco. A wyżej „Zapiski z więzienia” Marcelino Camacho, komunisty który jak przed wiekami Goya, Cervantes, de Vega i tyłu innych też swoje odsiedział. Camacho wtrącono do więzienia na lat 15. Jego „zapiski” rozeszły się błyskawicznie w tym pierwszym kilkudziesięciotysięcznym nakładzie.

— Wiesz co o tym mówią Hiszpanie? — pyta Martine.

Zaprzeczam ruchem głowy.

— Nuanca se disputa Espana. —

Wiesz co to znaczy?

Znów zaprzeczam. Nie znam hiszpańskiego, więc Martine tłumaczy na angielski.

— Mówi się u nas, że w Hiszpanii nigdy dyskusji nie było.

— Możliwe — przyznaję — Ale dziś jest dyskusja.

— Tak, dziś się dyskutuje — zgadza się Martine — I nikt nie wie czym to się skończy.

Spaceruję w niedzielne przedpołudnie po parku del Retiro w Madrycie i rozmyślam.

Hiszpania jest w ruchu. Ten kraj nabiera rozpędu. Zbliża się do demokracji zachodniego typu. Do czego się zbliży w tej następnej fazie? Ponowne odrodzenie się narodu? Możliwe. Czy Persja się nie odradza. Albo Egipt. Albo Indie. Hiszpania to kraj przyszłości. Ogromnie jej daleko do starczego uwiadu. Jeśli zaś chciałby się ktoś wywieść jakim to losu rządzeniem upadają wielkie kiedyś narody, niechaj przestuduje historię Hiszpanii. Zrządzenie losu? Może raczej brak społecznej dyscypliny. Może brak organizacyjnych zdolności? Może wybujały indywidualizm i doprowadzone do śmieszności poczucie honoru? Może zły rząd? Może chorobliwa fascynacja złotem?

Co się stało ze złotem konkwistadorów? Gdzie tych skarbow szukać?

— W kościołach — odpowiada Martine.

Ta piękna i młoda dziewczyna o subtelnej twarzy i niewinnych oczach zakonnic ma rację. Hiszpańskie złoto spoczywa w kościelnych skarbcach. Oglądałem w katedrach Toledo, Sewilli i Kordoby cale góry złota i cale góry srebra. Widziałem gigantyczne monstrancje kute w złocie i srebrze, które ważyły po kilka ton. Widziałem święte figury, święte ołtarze i święte obrazy, które mienily się jak niego gwiazdami beczenną biżuterię. Bogactwem niczym nie ustępowały te skarce sułtańskim skarbcem w Istambule. Może te skarce nawet przewyższaly. A potem się dziwił, że każda rewolucja zaczynała się w Hiszpanii od rabunku w kościołach.

Mineło południe. Pora się pożegnać. Wczesnym popołudniem odlot czarterowskim „Ilem” do Warszawy.

Martine powiada.

— Chodziłam z narzeczonym trzy lata, taki u nas zwyczaj, a wczoraj mnie rzucił.

Milczę, bo choć mogę powiedzieć? Mam wielką ochotę pogłaskać Martine po włosach falujących na wietrze, kasztanowatych i puszystych. Jak u Wenecjanki. Powstrzymuję się. Martine mogłaby to źle zrozumieć. Martine ma zasady. Będzie wiarną żoną i czułą matką. Będzie czekać. Będzie tak długo czekać, aż zjawi się ukochany i wsunie jej ślubny pierścionek na drżący paluszek. Martine odda się dopiero mężowi. To będzie jej pierwszy mężczyzna. Prawdopodobnie też jedyny. Przez ten czas będzie popatrywać na blond-turystki i zazdrościć im łatwości i swobody w nawiązywaniu męskich kontaktów. Będzie się szarpać. Będzie cierpieć i będzie czekać.

— Wiesz co? — Martine już się opanowała — Wiesz co, w grudniu przylatuję do Polski z grupą hiszpańskich turystów. Polubiłam Polaków. Im więcej Polaków poznaę, a polskich turystów coraz więcej w Madrycie, tym więcej was lubię. Charakterem bardzo Hiszpanów przypominacie.

Martine oddała się. Idzie szybko i zdecydowanie. Nie ogląda się. Idzie wężowym ruchem, ale biodrami nie rusza. Biodrami to już rusza Beata z miasta Łodzi.

Kleot krosien nie sprzyja raczej rozwojowi sluchu muzycznego. Toz pewne zainteresowanie muzyka odnotowano w Lodzi dopiero w latach 1860-tych, kiedy wystapil tu z koncertem znany nie tylko w Polsce kompozytor i pianista, Antoni Kąski. W ślad za nim poczel przyjezdzać inni soliści, okazalo się, że solistom potrzebna jest orkiestra, powstała więc i orkiestra, w roku zaś 1875 zespół entreprenera Juliana Grabieńskiego wystawil w sali Sellina przy Konstantynowskiej 16 „Halke”. Publiczność dopisała, wobec czego w następnym roku z tą samą operą wystapil zespół Józefa Texta. Na tym drugim przedstawieniu — jak pisze A. Pellowski — „było na sali gwaro i wesoło, a z galerii spadaly orzechy. W pewnej chwili widownia zamarla, bo zdawalo się, że z galerii spadl człowiek. Bylo to na szczescie paito. Jednak incydent ten wywołal na sali ogólny śmiech i na pewno aktorom gry nie ulatwil”.

Dramat muzyczny stal się kulturalną potrzebą lodzian, w związku z czym w roku 1888 zawiązało się **Lódzkie Towarzystwo Operowe**, prezentujące się nie tylko u siebie, ale również w innych miastach. Oczywiście „Halke” stanowiła w jego repertuarze czołową pozycję. Towarzystwo przestało istnieć w roku 1894 za sprawą niejakiego „p. Solskiego z Krakowa”, który działając w imieniu swego dyrektora, Tadeusza Pawlikowskiego skaperował solistów i zabawa na jakiś czas się skończyła.

Pozostali natomiast ciagoloty do muzyki i opery w szczególności, sprzyjali im na przełomie stuleci dyrygent August Balcerek, który wielokrotnie inscenizował przedstawienia operowe, bardzo zaś często „Halke”. Od Balcarka paleczkę przejął Alojzy Dworzaczek. Zorganizował on operę amatorską w roku 1907. Przydała się, kiedy spłonął teatr „Victoria”. Aby ratować aktorów-pogorzalców, Dworzaczek przy pomocy chóru „Lutnia” wystawil... oczywiście „Halke”. Potem przyszl lata lokautu i wojny, wprawdzie nikomu nie bylo do śpiewu czy tańca, a jednak w 1918 roku jakiś przyjezdny zespół wystapil na deskach dzisiejszego Teatru Nowego z — „Halke”.

Po wojnie powstało nowe **Lódzkie Towarzystwo Operowe** zrzeszające amatorów, ale bazujące na zawodowych organizatorach i muzykach. A więc Teodor Ryder, profesor w Konserwatorium Kijewskim (Traugutta 9), pianista Artur Balsam, prof. Nagujewski, dyrektor administracyjny Teatru Miejskiego, Stefan Tymowski i nieznan bliżej państwo Dobkiewiczowie. Głównym jednak organizatorem był niejaki kapitan Orlot, podlegający rozkazom własnej żony, Bronisławy Oleckiej, osoby bardzo lubiącej śpiewać, ku zmartwieniu przyjaciół i sąsiadów.

Na lankę operę zdecydował się nowy zespół? — Na „Halke”. Prof. Ryder rozpoczął pracę z chórem, Artur Balsam uczył solistów i suflerował, Stefan Tymowski grał na wiolonczeli, a siedział w orkiestrze obok prof. Nagujewskiego. Był dobrym dyrektorem administracyjnym teatru dramatycznego. Jak grał na wiolonczeli, nie wiadomo. Chór wypadł nie najgorzej. Wiadomo — jeśli się zbierze pewną liczbę przeciętnych głosów, to dobry dyrygent może je ułożyć w piękne, harmonijne dźwięki. Co innego z solistami. Pani kapitanowa Olecka zyskała sobie sławę Halki tak „nieszczęśliwej”, że sam Montiuszko nie powstrzymałby lez. Partię Jontke śpiewał tenor sprowadzony aż z Krakowa, ale bardzo kiepski. Nazywał się Józef Stepiński. W roli Janusza wystapil dermatolog, dr Łazarz Prybucki, który zgodnie z wymaganiami libretta ożenił się w ostatnim akcie z internistką, dr Sabina S.

Publiczność lódzka obejrzała wtedy pięć przedstawień „Halki”. Co jedno to lepsze od poprzedniego. Dermatolog Janus uważał, że wszystko będzie w porządku, jeśli tylko „wejdzie” zawsze we właściwy moment. Toteż zapomniał zupełnie o Zofii, a chłonał oczami dyrygenta, Bolesława Walke-Walewskiego. „Wchodził” rzeczywiście, kiedy było trzeba. Tyle, że fałszywie. Jontek z braku ciunagi przyniósł laske z monogramami i machał nią z lada powodu, a także bez powodu. Jakaś siła niosła chór ku przodowi, skutkiem czego brakowało miejsca dla solistów. Niektórzy zaś chórzysci w bardzo smutnych chwilach scenicznego życia Halki wesoło machali znajomym siedzącym na sali. Powszechna uwaga zwracał pewien góral mający bardzo wydatny orl nos i czarne kędziory, który wykonywał plasy raczej nietypowe dla folkloru naszych Tatr.

Gwoli sprawiedliwości należy dodać, że co najmniej jedno z przedstawień stalo rzeczywiscie na dobrym poziomie. Partię tytułową zaśpiewała wtedy Lucja Frankusówna, córka właściciela cukierki z ul. Andrzeja w latach późniejszych — solistka Opery Warszawskiej. Jako Janusz towarzyszył jej sprowadzony z Warszawy Adam Dobosz. W partii Zofii wystapila Leokadia Jurdzinska, siostra kompozytora, późniejsza śpiewaczka operetki, aktorka teatrów lódzkich, i wreszcie z powodzeniem zadebiu-

tował jako dyrygent młody lódzki muzyk, uczeń prof. Rydera, Daniel Kleit.

Skoro „Halke” wypadła jako tako, wzięto na warsztat „Madame Butterfly”. Był to wysilek ponad możliwości. Pani kapitanowa Olecka zachrypla przed końcem arii i nie już pomóc nie mogła nawet obecność Adama Dobosza. **Lódzkie Towarzystwo Operowe** nie przeżyło zgonu Chocho-san. Ale jakieś tam grono miłośników opery pozostawało we wzajemnych kontaktach i zabiegalo o to, by przyjeżdżali do Lodzi zespoły z innych, szczęśliwszych miast. Przyjeżdżali. Lepsze i gorsze. Raz zaś na „Tosce” wystawioną na deskach obecnego Teatru Nowego prawie nikt nie przyszedł, bowiem na afiszach widniały nie nie mówiące nazwiska: Irena Cywińska i Jan Kiepusa. Kiedy osiem lat później Polskie Radio nadało „Tosce” ze sceny krakowskiej, w tej samej audycji, cała Polska siedziała przy głośnikach.

Oglądała też widownia lódzka coś tak niezwykłego jak występy opery objazdowej Tadeusza Wierzbickiego. W jej skład wchodziła orkiestra złożona ze skrzypki i pianisty. Ten ostatni był jednocześnie kierownikiem artystycznym i dyrygentem i machnięciem ręki dawał znać solistom kiedy mają wejść. Chór składał się z ośmiu osób, balet z dwóch bardzo kiepskich tancerzy, ale budzących szacunek podeszłym wiekiem. Nie rozpieszczano też widowni przesadną

konkurs na siedzibę teatru. Ale konkurs nie należał do owocnych, więc po prostu sprawę oddano fachowcom w Biurze Projektów i Studiów (zwanym później Miastoprojektem) i tam powstało kilka kolejnych koncepcji. Trwało to bardzo długo, ale fakt, że ostatnia, ta zrealizowana koncepcja okazała się dobrą, kaže z pobliżnością patrzeć na przeszłość. Projektantów było kilkudziesięciu, najbardziej jednak zaważyła na całości praca doc. Witolda Korskiego oraz inżynierów Józefa Korskiego i Romana Szyborskiego. Akustykę, którą teatr dziś słynie opracował dr Witold Straszewicz. Na konsultanta zaproszono specjalistę w tej dziedzinie o sławie światowej, prof. Frenka z Liege. Na lotnisko pojechał po niego tłumacz. Ale okazał się zbędny, bowiem profesor pochodził z Lodzi i kończył tu gimnazjum A. Zimowskiego.

Wśród ludzi, którym istnienie teatru zawdzięczamy, niepodobna pominąć dyrektora Zarządu Inwestycji Wacława Lipińskiego. Miłośnik muzyki, muzyk-amator nadawał się jak nikt inny na kierownika budowy opery w decydującym stadium. Działal jak mason, który w każdym misterstwie znajdował wtajemniczonego, rozmawiał z nim o Wagnerze, Brahmsie, Beethovenie, o dyrygentach, solistkach i tych szelmutkach z baletu i w końcu dostawał wszelkie tak zwane towary deficytowe, które dziś składają się na całość Teatru Wielkiego.

JERZY URBANKIEWICZ

FABRYCZNE SYRENY

I „CARMEN”

liczbą solistów. Historia lódzkich teatrów dramatycznych zna przypadek kiedy w „Ich czworo” Zapołskiej wystapili trzy osoby. W zespole Wierzbickiego duet Janusza i Halki śpiewała jedna osoba, mianowicie Janusz. Co jakiś czas wyciągał ręce w stronę kulis, a stamtąd wydobywało się wypiszczone dyszantem: „O, mój sokole, o słońko moje...”

Przedstawienia odbywały się w Teatrze Popularnym, publiczność bawiła się znakomicie. Po „Halce” z zespołu wystapil z operą „Carmen”. Orkiestrę powiększono wtedy o sto procent, angażując jako drugiego skrzypka Tadeusza Hesse, ojca sławnej Barbary Hesse-Bukowskiej. W roli Carmen wystapila jakaś ziemianka w starszym wieku. Głosu wprawdzie nie miała, ale nie tylko śpiewała za darmo, to jeszcze cały zespół zaprosila na odpoczynek do swego majątku.

II.

Myśl stworzenia prawdziwej opery poczęła kiełkować w Lodzi zaraz po wojnie. Nazwa, jaka z nią łączono, była imponująca: Teatr Narodowy, a narodzila się ona w głowie Leona Schillera. Powołano komitet z zadaniem gromadzenia pieniędzy. Pochodzić miały z 5-procentowego dodatku, którym obciążono bilety teatralne, poza tym sprzedawano znaczki: cegiełki. Wyliczono, że tym sposobem trzeba będzie w ciągu dwóch lat zebrać 80 milionów złotych. „Na stare pieniądze” — jak mówił starsze pokolenie. „Sumę niebagatelną” — jak dodają wytrawni publicyści. Miejsce było do wyboru kilka, zwyciężyła ostatecznie myśl zrodzona kilkadziesiąt lat wcześniej i wykopalno fundamente przy placu Dąbrowskiego. Ale do pierwszej premiery było jeszcze bardzo daleko.

Pewne wydarzenia roku 1948 zdawały się wskazywać, że sprawa rusza z miejsca, ogłoszono mianowicie

Na szczescie kiedy jedni zmagali się z trudnymi sprawami projektów, zaopatrzenia w materiały budowlane i wreszcie samej budowy, inni śpiewali gamy i modelowali kształt artystyczny przyszłego teatru. Początkowe koncepcje poczęły w roku 1954 krępać w kształt opery, wtedy bowiem rozwiązany został Chór Polskiego Radia, a więc coś śpiewającego, co należało uchronić przed rozproszaniem. Powstało więc kolejne towarzystwo, które dla odmiany przyjęło nazwę **Towarzystwo Przyjaciół Opery**, jako koordynator tych poczynañ i mecenas. Na jego czele stanął ówczesny rektor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, prof. Kazimierz Sikorski. Kierownictwo artystyczne roztaczał się operą objął prof. Mieczysław Drobnier, kierownictwo muzyczne i stanowisko pierwszego dyrygenta — prof. Władysław Raczkowski. A w zespole znaleźli się m.in. baryton Michał Marchut i kompozytor, Tomasz Kiesewetter.

Tym razem wyjątkowo wzięto na warsztat „Straszny dwór” jako pierwszą pozycję. Rozpisano role, próby odbywały się gdzie się dało, np. w LDK, albo w prywatnym mieszkaniu przy al. 1 Maja 6, a sytuację te anonimowy solista ujął we fraszkę:

Opera lódzka jest jak ta sierota, co to sctyla głowę u cudzego pita. Tulając się po mieście i nie mając żadnej pewności, że te wysiłki nie pójdą na marne, zespół przygotował pierwszą premierę na 10-lecie wyzwolenia Lodzi, a więc na styczeń 1955 r. Ta pierwsza opera stanowiła jakby poligon dla integrującego się zespołu. Na ciężką próbę była wystawiona Wera Kuźmińska, kiedy jako Hanna miała zaśpiewać „Do grobu trwać w beżennym stanie — zamięciar dziwny niesłychanie”, a jakis dowiecniś podszepnął: „Do grobu trwać w beżennym stanie — zamięciar dziwny niesłychanie” — zamięciar dziwny niesłychanie, że jedna

śpiewać nie należy, ale nie mogła się zdecydować, której. Więc dyrygent przekazał orkiestrze: „Przepuszczamy arie!” i właśnie uderzyli w pierwsze akordy po arii, kiedy solistka oprzytomniała i zdecydowała się na „beżenny stan”.

Nieco inaczej walilo się to samo przedstawienie w miejscu, w którym Maciej (Witold Chodziuk), Stefan (Edward Kamiński), Zbigniew (Kazimierz Cybulski) i Miecznik (Zdzisław Klimek) wykonywali kwartet. Maciej miał wejść i zaśpiewać: „Bryka zasła na podwórze”, ale zagadał się za kulisami i nie wszedł. Głnął więc rym dla Miecznika formułującego przypuszczenie: „Więc jesteście chyba tchorze”. Oburzony Maciej: „Kto tchorze? Moi panice?” Miecznik na to: „Tak, tak i ty”. Skoro Maciej nie wszedł, Zbigniew próbował ratować sytuację i zastąpił Macieja: „Bryka zasła na podwórze”. Miecznik poczul ulgę i zaśpiewał swoje: „Więc jesteście chyba tchorze”. Na to Stefan: „Kto tchorze?”, ale skoro był panicem, nie mógł ciągnąć tekstu, więc odpowiedź Miecznika: „Wy i ja” wyszła w ogóle bez sensu. A co gorsze — w tym momencie oprzytomniał Maciej, wbiegł na scenę i znów: „Bryka zasła na podwórze” i wszystko raz jeszcze od początku.

Wyp i nieporozumienie jest zwykłe sporo nawet w teatrze mającym swoją tradycję, a co dopiero w takim, raczkującym. Zaslabił kiedyś w czasie przedstawienia dyrygent, prof. Raczkowski. Zastąpił go prof. Drobnier. Ale tak energicznie machał rękami, że mu spod fraka wyszła koszula, co odwracało uwagę widzów od tego, co się działo na scenie. Włoc mu jakoś zasygnalizowano, by odszedł od pulpitu. Dokonczył dyrygowania Mieczysław Wojciechowski.

III.

Wszystko się wreszcie dotarło i 19 stycznia 1967 roku cała Lódź i połowa Polski runęła w podwoje Teatru Wielkiego, by zobaczyć, co też to przez te prawie dwa dziesiątki lat zrobiono. Aby więcej ludzi mogło się chwalić obecnością na inauguracji, trwała ona 4 dni, w czasie których wystawiono „Halke”, „Straszny dwór”, „Kniazia Igora” i „Carmen”.

A kiedy po raz pierwszy kurtyną poszły w górę, przed publicznością sklonił wspaniale siwą głowę — prof. Zygmunt Latoszewski. Z wykształcenia — muzykolog i skrzypek, ale nie bez znaczenia dla jego kariery był fakt, że dał się poznać jako dobry recenzent i pisywał recenzje z muzycznych imprez poznańskich przez czas jakiś. Ciągnęło go jednak do pracy artystycznej, więc przy pomocy przyjaciół zakupił sobie za 1.800 przedwojennych złotych koncert symfoniczny. Bo takie były wtedy zwyczajy. Odbył trzy próby z orkiestrą Opery Poznańskiej, a następnie wystapil jako dyrygent z publicznym koncertem. Był to z jego strony akt młodzieńczej brawury, wynikający z przekonania: „Znam utwory, więc pokażę wam, jak się dyryguje...” Na koncert zbiegli się cały muzyczny Poznań. „Szli, jak się chodzi na pogrzeb” — tak to ocenił prof. Latoszewski. Chcieli zobaczyć, jak „się rozłoży” ten, który miał tyle krytycznych uwag w stosunku do innych dyrygentów. Koncert stal się sukcesem, w ślad za którym przyszła propozycja dyrygentury w operze. Po wojnie organizował Operę Poznańską i Operę Warszawską i wciąż musiał być dyrektorem, aż przejście na c. meryturę w roku 1974 prof. Latoszewski skomentował: „Całe życie na to pracowałem, żeby mieć ten przywilej, żeby móc się oddać wyłącznie pracy artystycznej”. I obecnie — tylko dyryguje.

Miliony 10 lat istnienia Teatru Wielkiego można by nazwać pasmem sukcesów, ich zaś miarą była niezmiennie pełna widownia. W tym czasie 2.800.000 widzów obejrzało 50 premier. Gdyby ktoś twierdził, że statystyka nie pasuje do przedsięwzięcia tak harmonijnego i melodyjnego jak teatr opery i baletu, to należałoby mu przypomnieć poglądy pitagorejczyków, dla których harmonia jest stosunkiem liczbowym.

Kiedy Teatr Wielki wrośł twardo w lódzką rzeczywistość kulturalną, a stalo się to bardzo szybko, pojawiła się potrzeba kontaktu z widzów z solistami. I oto w tradycję kawiarni „Teatralnej” weszły poniedziałkowe spotkania, które prowadził kierownik literacki teatru, Stanisław Dybardis. Rychło jednak uległy pewnej ewolucji. W czasie mianowicie spotkania z **Paulosem Raptissem** publiczność zaczęła się domagać, by zaśpiewał. Wzbraniał się, ale wymuszono to na nim, więc bez akompaniamentu, odcząc się i licząc w duchu takty, zaśpiewał arie Rudolfa z „Cyganerii”. Po tym występie wniesiono do kawiarni pianino i spotkania te przetrwały się w poniedziałkowe „koncerty przy świecach”.

Od wielu już lat jest Teatr Wielki miejscem spotkań baletów z całego świata.

A gdyby ktoś zadał pytanie: jaka opera wystawia Teatr Wielki na 10-lecie swojego wspaniałego gmachu, to odpowiedź każdy się domysli. Oczywiście „Halke”.

EDUKACJA U MOZARTA?

Może i mają słusność ci, co uważają za bezprzedmiotowe wszelkie dyskusje na temat — czy opera jako gatunek sztuki już dogorywa, czy też ma jej się na długie życie. Przeciwnicy twierdzą, że nie da się już dłużej trawlić widowniska o nieraz nie najlepszej muzyce (w porównaniu z przeciętnym programem symfonicznym czy kameralnym), widowniska o ekliwym i często naiwnym librecie, w realizacji sceniczną daremnie usiłującej przetransplantować do opery środki aktorskie teatru dramatycznego. Zwolennicy wysuwają najczęściej kontrargument frekwencyjny. Ze niby skoro ludzie na operę coraz tłumniejsie się cina, to najwiedoczniej przeżywa ona swój renesans.

Kontrargument wydaje się nacagienny, bo czyż na najbanalniejsze muzycznie operetki, z budurnym librettem i w niewielkim wykonaniu nie wala również tłumy, zwłaszcza jeżeli mają nadzieję na striptiz? Nie zapominajmy przy tym, że w wielu krajach zwiększył się dostęp do kultury nowych kręgów społecznych, których świeża wrażliwość wypacza się, nim zdąży dojrzeć do wyższych wymagań.

Ale jeszcze — tytułem przypomnienia — pewne fakty. To chyba o czymś świadczy, że najmniejsza liczbę przedstawień ze wszystkich premier lódzkiego Teatru Wielkiego miało dotychczas „Così fan tutte” mimo znakomitej przeciętnej muzyki, wdzianego libretta i udanej realizacji. Podobnie pozostałe premiery oper Mozarta „Zaccarowany flet” i „Uprawdzenie z Seraju” nie dorównywały frekwencyjnie wielu mniej wartościowym działom i bynajmniej nie lepiej wystawionym.

Wytworzyła się więc bardzo niepomysłna dla muzycznej kultury Lodzi sytuacja, która można by określić jako „kompleks Mozarta”. Dzieła jednego z największych kompozytorów, z którym zwłaszcza w repertuarze operowym miało kto może się równać, wystawia Teatr Wielki jakby dla „honoru domu”, z frekwencyjnym trykiem. Nieszczyście Mozart stal się mimo woli „papierkiem lakmusowym”, problemem muzycznym naszego społeczeństwa. I prosty stąd wniosek, że bywałe opery — w przeciwieństwie do filharmonicznych — jest jeszcze (a może był do niedawna) w nie mniejszym stopniu widem niż słuchaczem. Niech nas nie pociesza zwodniczy argument, że to „prawidłowość”, ponieważ opera stanowi sztukę zintegrowaną. Owszem, ale propozycja owej integracji sceny i muzyki nie powinna przypominać w kulturalnej „konsumpcji” pastetku z jednego zająca i jednego konia.

Czy wobec tego nie wystawiać Mozarta? Koniecznie wystawiać, żeby umuzykalniać stopniowo tych, którzy nabrali już pożytecznego nawyku chodzenia do opery na wszystko, bo właśnie tylko muzyka operowa najwyższego lotu jest szansą przetrwania opery jako sztuki pełnowartościowej. Może nawet, iakość... sceniczną sztuki przyszlności?

A więc nie od dzisiaj upatrują ludzie artystyczna szansę opery nie w kompromisowym dopasowywaniu tak odrębnych żywiołów jak scena i muzyka, lecz szukają „prawdy” dzieła operowego w jawnej umowności konwencji sceniczej, animowanej przez muzykę. I właśnie w „Weselu Figara” klucze do interpretacji sceniczej znajduje się w muzyce w stopniu niemal przysłowiowym, jako w swego rodzaju psychologicznym kontrapunkcie, we właściwej Mozartowi plynności nastroju, co inspirowało do kreowania postaci złożonych i sytuacji nie do końca jednoznacznych.

Najwyraźniej takie też zamysły przyświecały reżyserce lódzkiego przedstawienia, zamysły tym realniejsze, że mogły liczyć na wsparcie ze strony doskonałego przygotowania muzycznego, przez wytrawnego znawcę muzyki klasycznej, dr Zygmunta Latoszewskiego, który w pięknym mozartowskim stylu poprowadził premierę. Pełna ruchu, wartka akcja stanowiąca jednak wyjątkowo duże obciążenie aktorskie przy niezmiernie trudnych przecież zadaniach wokalnych, rozgrywała się w scenerii jawnie akcentującej umowność operowej konwencji, ale akcentom tym trochę niedostawało urody. Półkolista ściana teatralnego budynku zamknięta głąb sceny, była chyba zbyt monumentalna, a opuszczająca na bliższym planie zastawki, jako to poszczególnych odston, były pomyślane zbyt mobilnie, co nie ułatwialo zadań przy częstym otwieraniu i zamykaniu drzwi.

Wieksość solistów wywilażywała się pomimo tego bardzo sprawnie, choć szwankowała jeszcze chwilaami plynność ruchów, a przy tym wykonawcy nieraz zbyt uporczywie zawiśali wzrokiem na paleczce dyrygenta, który niejednokrotnie musiał w tak liczących tu zespołach wokalnych sprzągać niezborne głosy solistów w zgodne brzmienie.

Wielką muzykalnością i umiejętnością wokalnymi, m. in. w przepięknym duecie po Hście Hrabiny wykazały się Teresa May-Czyżowska (Hrabina) i Maria Szczucka-Kudanowska (Zuzanna), zwycięsko walcząc z niedyspozycją głosową Andrzeja Malinowski (Figaro), obrońca ręką z roli Hrabiego wyszedł Zbigniew Jankowski, świetnie wokalnie mimo skrepowania aktorskiego pokazała się w roli Cherubina Krystyna Rorbach, kulturę muzyczną i sceniczną pokazała Lidia Skowron (Marcelina), prawdziwy talent ujawnił w roli Bartola Włodzimierz Zaleski, z wielką vis comica i doskonałą głosowo wykonał partię Antonia Stanisław Michoński, Bailem był Adam Dulinski, Curziel — Eugeniusz Szykarski, dobrze spisał się jako Barberina Ewa Radzikowska.

Mimo przeszło trzech godzin „czystej” muzyki publiczność aż do końca naciadała przedstawienie oklaskami, bo chyba też sceniczną realizacją okazała się w odbiorze tej bogatej muzyki pomocna.

JERZY KWIECIŃSKI

W. A. Mozart „Wesele Figara”. Libretto — Lorenzo da Ponte. Przygotowanie muzyczne — Zygmunt Latoszewski, reżyseria — Christine Mieltz, scenografia — Peter Friede, przygotowanie chóru Zbigniew Paweł Premiera w Teatrze Wielkim.

Nie ma w Polsce zawodu zabawkarza, choć w innych krajach kierunek ten stanowi przedmiot studiów politechnicznych. W ostatnich latach zmieniło się jednak spojrzenie na produkcję zabawek i oto jesteśmy świadkami, jak powstała, nienowa wprawdzie, ale osobna gałąź przemysłu — przemysł zabawkarski.

Od lat obserwujemy w Polsce zwiększający się popyt na zabawki, którego handel nie jest w stanie zaspokoić. Ciągłe chodzący zafascynowani zabawkami zagranicznymi, zwłaszcza automatycznie sterowanymi. Gdy wejdziesz do jakiegokolwiek sklepu z zabawkami dostrzeżesz różnice między produktami krajowymi a zagranicznymi. Zabawki nasze są jeszcze stosunkowo bezbarwne, wykonane technicznie nie na najwyższym (ba, choćby przyzwoitym) poziomie i do tego jeszcze nie najciekawsze wzory. Uwagi te dotyczą jedynie zabawek metalowych, drewnianych i mechanicznych, zabawki miękkie na tym tle dodatkowo się odcinają. Mamy tu zarówno duży wybór pyzaty, rumianych, wesołych lalek, misiów, aż po figlarne zwierzątka i ciekawe foteliki dziecięce (przy tych ostatnich przeraża tylko cena). Równie duży wybór możemy spostrzec wśród gier planszowych, chociaż są one nazbyt monotonne, podobne systemowo. Ostatnią nowością są tu chyba gry oparte na przepisach ruchu drogowego, inicjatywa bardziej niż godziwa, ale nie wydaje się by na tym należało poprzestać i tkwić przez kilka lat w bezruchu nie najlepiej pojętej „tradycji”.

KIEDY I JAKIE ZABAWKI DLA DZIECKA

Niedawno jeszcze troje dzieci bawiło się jedną lalką, dzisiaj sytuacja zmieniła się na tyle, że jedno dziecko bawi się trzema lalkami. Związane jest to również ze względu na zmianę struktury spożycia naszego społeczeństwa; zaspokojenie potrzeb elementarnych typu biologicznego spowodowało wzrost zainteresowań dobrami wyższego rzędu, jak książki, automaty, pojazdy a także i zabawki. Babcie, ciocie, wujkowie kupują dzieciom zabawki „na wysig” i rzecz dziwna, wysokie ceny wcale nie zmniejszają tego trendu, przeciwnie stanowią dodatkowy bodziec psychologiczno-użytkowy. Ten ostatni pojęty zresztą bardzo staroświecko, że dobra rzecz musi być droga. A jakim źródłem osobistych satysfakcji dla obdarowyjących jest podarowanie drogiej zabawki; świadczy przecież o pozycji materialnej! Dzieci dostają wiele rzeczy bez względu na to czy potrzebują, czy nie.

Rodzice, ciocie i wujkowie powinni orientować się w pedagogice na tyle, żeby nie kupować dzieciom zabawek nie przystosowanych do ich wieku i ich potrzeb psychofizycznych. Pedagogika wyraźnie rozróżnia okresy niemowlęcy do 2 lat, tutaj większych problemów nie ma jeżeli chodzi o dobór najprostszyszych zabawek. Muszą być one tylko kolorowe, odpowiednio duże, łatwe do trzymania i wykonywane z materiału, który dziecko może nagryzać bez szkody dla zdrowia. Natomiast wiek przedszkolny dzieli się już na dwa okresy: od 3 do 5 lat i od 5 do 7 lat. Około 4 roku życia dziecko wkracza w tzw. „zaczarowany” świat i szczególnie silnie pobudzona jest jego wyobraźnia... W drugim okresie dominuje już myślenie bardziej realne. I do wieku szkolnego dzieci powinny się bawić tradycyjnymi, „konwencjonalnymi” zabawkami. Nie znaczy to wcale, że producenci zwolnili się na tym etapie od rozwijania inwencji, przeciwnie, tutaj jest najwięcej do poprawienia. Przecież dzieci w okresie przedszkolnym są największym odbiorcą — mówiąc językiem handlowym — najroźniejszych asortymentu zabawek. Z półek sklepów natomiast jeszcze często zamiast dobrej zabawki „szczyrzą się” uporne widma samochodów, tramwajów, samolotów itp.

Dopiero w okresie szkolnym dzieci powinny zainicjować się z różnego typu zabawkami mechanicznymi, politechnicznymi, samosterującymi itd. Gdzie jest granica zainteresowań zabawką? W starym układzie uważano, że etapem końcowym jest szkoda podstawowa, ale czyż starsi panowie nie bawili się kolejkami? Poza tym

niektóre zabawki przypominają modele najnowszych osiągnięć w dziedzinie techniki a to już blisko hobbystów i modelarzy, gdzie granicy wieku po prostu nie ma.

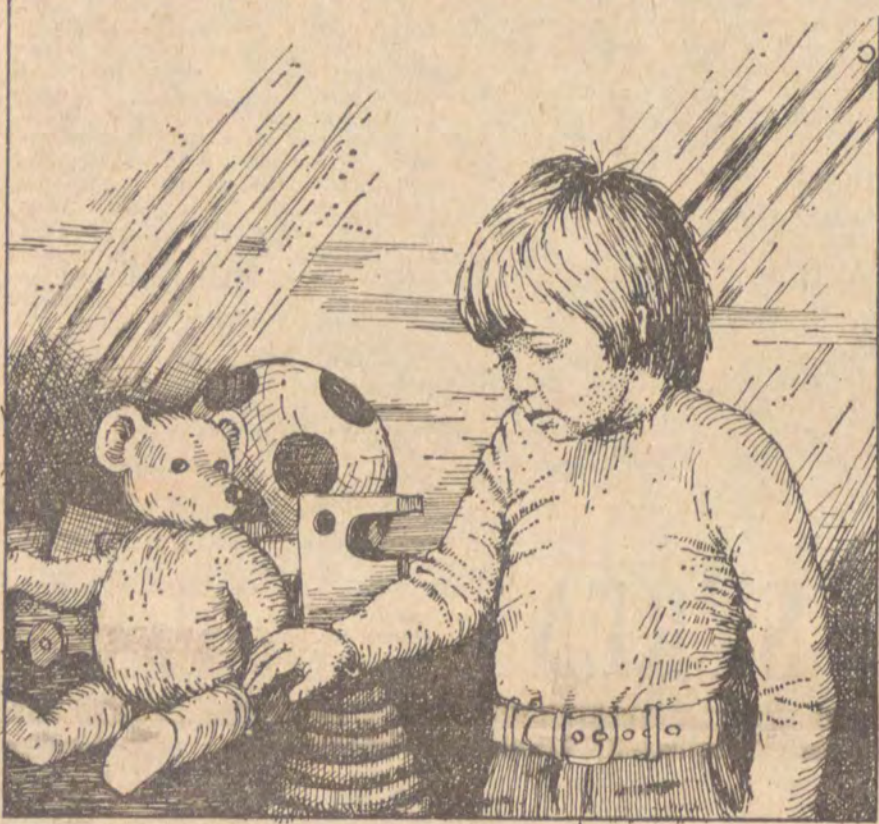
Osobnym zagadnieniem jest pora roku, kiedy dziecko ma otrzymać zabawkę. Drogich zabawek nie można dawać w okresie letnim, bo dzieci nie będą się nimi bawiły. Latem potrzebne są rzeczy do zabawy na świeżym powietrzu, począwszy od wózka, wiatarka, łopatk i foremek do piasku, aż do piłki i innych gier sportowych. A zatem zabawkarstwo, to nie tylko kalkulacje ekonomiczne, ale także problemy wieku, odmienności płciowej, sezonu roku, sytuacji mieszkaniowej,

trzeba jasno powiedzieć, że mamy ogromny kompleks na tym punkcie, gdyż zabawki trudne, zmechanizowane, automatyzowane zaczynamy dopiero wprowadzać do produkcji i przyjdzie nam przelamywać zapożyczenia nie tylko w sferze przemysłowej ale także w świadomości odbiorców zabawek. Powinniśmy wychodzić coraz odważniej z klockowego „zaścianka” i zrownoważać importowane „cudaczności”.

Zresztą handel nasz wypracował już swoje metody w zakresie sprzedaży zabawek; 40 proc. zakupów dziecięcych rozkoszy zostaje sprzedanych w ostatnim kwartale roku; związane to jest przede wszystkim z upominkami gwiazdkowymi, co jest zresztą tradycją już na całym niemal świecie.

WIESŁAW JAN WYSOCKI

W CO SIĘ BAWIĆ?



Rys. Janusz Szymański-Glanc

CENY A POPYT

Nie tak dawno pojawiły się w naszych sklepach importowane lalki w cenie od 800 do 1200 zł i w bardzo szybkim czasie zniknęły. Świadczy to o tym, że rynek wewnętrzny przygotowany jest do odbioru zabawek nawet w tej cenie. Zapewne nie w tak masowej skali, jak zabawki popularne i tanie. Pokutuje jednak wśród znacznej części dorosłych fałszywy pogląd, że zabawka bardziej skomplikowana i droga ma wyższą przydatność dla potrzeb rozwojowych dziecka. Czy na tym żerują handlowcy „śrubując” ceny wielu zabawek, trudno wprost dociec. Dla przykładu klocki (najmniej skomplikowany element dla producenta) są w cenie 64 zł, 68 zł, 110 zł. Równie mało skomplikowany choć jako zabawka interesujący, drewniany duży pociąg kosztuje aż 800 zł. Z zabawek miękkich — fotelik w kształcie zwierzątka wyceniono na 460 zł. Wydaje się, że w wielu wypadkach rachunek ekonomiczny nie był głównym elementem wyceny zabawki. Ale są także i pozytywne przykłady; jedna ze spółdzielni specjalizuje się w produkcji klockowych figur zwierząt składanych z wielu elementów w sposób trudny, który rozwija fizycznie i umysłowo np. 4-letnie dziecko, a kosztuje tego typu zabawka 10 — 15 zł.

Są zabawki drogie, gdzie wysoki koszt jest uwarunkowany przez ekonomikę nie przez np. pedagogikę czy „modę”. Będą to wszelkiego typu zabawki specjalistyczne, jak wprowadzony jeszcze chyba w tym roku do produkcji model sterowany impulsem świetlnym. Samo uruchomienie produkcji (nastąpi w 4 kwartale br) wymaga nakładów rzędu 5 mln zł. Tyle mniej więcej wynosi cena prototypu zabawki wysoce zmechanizowanej. Stąd cena rynkowa zabawek tego typu jest również wysoka i waha się w granicach 300 zł. I nie ma możliwości, żeby było inaczej, skoro jeden silniczek kosztuje około 50 zł a do jednego egzemplarza zabawki potrzebne są dwa takie silniczki. Dochodzą jeszcze inne elementy elektronicznego sterowania np. specjalna latarka, która po włączeniu daje impuls przerywany. To wszystko daje uzasadniony wysoki koszt sprzedaży niektórych zabawek. Przy czym

cie, Zasluga zaś handlowców polskich, jest wypracowanie drugiego sezonu — dnia dziecka, co nie wszędzie można spotkać. Stało się to przy dużej mobilizacji pedagogów, prasy, radia i telewizji.

ELIMINOWANIE SZMIRY

Istotną zasługą przemysłu zabawkarskiego stało się powołanie przez ministra handlu wewnętrznego Komisji Oceny Zabawek. W skład tego organu weszli poza producentami i handlowcami także przedstawiciele ministerstwa zdrowia, oświaty, kultury i sztuki, wszyscy związani z dzieckiem z racji profesji. Ministerstwo Kultury i Sztuki reprezentuje przedstawiciel Związku Polskich Artystów Plastyków. Ocena kilkuletniej działalności Komisji pozwala wyciągnąć optymistyczny wniosek; w sklepach mamy coraz mniej szmiry, chociaż nie ludzimy się, że od razu będziemy mieli zabawki „z tysiąca i jednej nocy”. Niemniej wiele w tym kierunku już zrobiono. Bez pozytywnego atestu Komisji Oceny Zabawek jakakolwiek zabawka nie może być produkowana w kraju, a jeżeli już ktoś odważyłby się to zrobić, nikt z handlu społecznego nie przyjmie jej do obrotu. Jedynie Centrala Handlu Artystami Papierniczymi i Sportowymi jest w pełni niezależna od Komisji i importuje zabawki według własnego „widzimy”. W tym wypadku nawet wysoka cena zabawki zagranicznej nie wydaje się być kryterium selektywnym dość ostrym, na zbyt wielu jeszcze działa magia pieniądza. Poza problemem konsultacji sprowadzanych do kraju zabawek z zainteresowanymi osobami czy instytucjami o wiele ważniejsze wydaje się rozwinięcie rodzimej konkurencji w tej dziedzinie. Nie można także wymagać zbyt wiele od samej Komisji Oceny Zabawek, która jest ciałem społecznym. Ludzie tworzący Komisję przychodzą po pracy na 3-4 godzinny rzetelnej społecznej roboty, otrzymują za to symboliczną sumę 38 zł. Każdy projektant otrzymuje

uwagi co do kolorystyki, umocowania części, możliwości skaleczenia przez dziecko, wymiarów itd. Komisja jest organem w pełni niezależnym, tak że np. przedstawiciel Instytutu Higieny Matki i Dziecka może odesłać do poprawki zabawkę, która zagraża zdrowiu dziecka ze względu na ostre kształty. Tak samo może postąpić plastyk, który ma zastrzeżenia wobec wyglądu zabawki. Można by tylko jeszcze apelować o zmniejszenie „oczek” w cedzaku Komisji, aby jak najmniej wychodziło na rynek przeróżnych brzydactw i innych niby-zabawek.

Zmniejsza się natomiast krąg zabawek typu „odpuścowego”, ale to już nie jest zasługa Komisji, której możliwości działania są ograniczone, lecz podnoszenia gustów estetycznych całego społeczeństwa. Tandeta odpuścowa żyje — i to wcale nie gorzej — z powodu dwóch chwytów handlowych: jest tania i efekciarska, czemu bardziej już ulegają dzieci niż dorośli. Zresztą przyznajemy, że jarmarczność jest już raczej okazjonalna niż codzienna. Rozwój zabawkarstwa i wyrobiony smak odbiorców staną się w niedługim czasie „gwoździem do trumny” kuglarskiej szmiry.

„LEGO”

Co pewien czas lansuje się na świecie moda na różnego rodzaju typy zabawki. W ostatnich latach rozpowszechniony został system „lego”, oparty o wzorec tradycyjnego klocka, z tym że daje możliwości bardziej złożonych układów przestrzennych. Reklama duńskiego przedsiębiorstwa, które zaojowało rynki zachodnie, głosiła zmierzach dobrego i wysłużonego klocka a zastąpienie go nowym typem zabawki. O wyjaśnienia na ten temat poprosiłem dyrektora Ośrodka Badań i Rozwoju Przemysłu Zabawkarskiego i Artystów Politechnicznych w Łodzi, który to ośrodek stanowi centrum naszego przemysłu zabawkarskiego, mgra Zdzisława Misiaka: „Dla każdego okresu rozwojowego dziecka potrzebna jest bardzo konkretna zabawka. Nigdy nie zaginie to, co nazywa się „lego”. Podobne zabawki, akurat nie w układzie „lego”, bo to są względy patentowe, są robione i u nas. To wszelkiego rodzaju składanki z tworzywa. Jeżeli mówimy, że u nas jest gorsza jakość zabawki, to jednocześnie musimy wiedzieć, że stan parku maszynowego u nas jest gorszy. Firma „Lego” jest wyposażona w bardzo dobry park maszynowy i w samej tylko firmie pracuje 200 konstruktorów i inżynierów, gdy w Ośrodku Badań i Rozwoju w Łodzi, który ma służyć całemu przemysłowi zabawkarskiemu, nie przekracza 140.”

Interesująco wyglądają te sprawy w Związku Radzieckim. Cały przemysł zabawkarski został doskonale wkomponowany w strukturę społeczno-gospodarczą kraju. Główne ośrodki wytwarzające zabawki zostały zlokalizowane w wielkich ośrodkach przemysłowych, zwłaszcza tam, gdzie jest najlepsze technologiczne, łatwo można rozwiązać problemy projektacyjne lub wykonać maszyny do produkcji określonego typu zabawek. Organizacja ta nie podobnie jak na Zachodzie, niewielkie zakłady przemysłowe zatrudniające około 2 tysiące ludzi. Wydaje się, że jest to liczba optymalna także i dla Polski, ale u nas istnieje duże rozczłonkowanie, i to raczej bezładne, przemysłu zabawkarskiego. Trudno nie uwzględnić warunków społecznych i likwidować zakłady, gdy pracownicy w nim ludzie nie znajdują nigdzie w pobliżu miejsca pracy. Dodatkowym utrudnieniem są zakłady typu chałupniczego. W przedsiębiorstwach — mówi dyrektor Zdzisław Misiak — specjalizujących się w skomplikowanych mechanizmach, od 10% do 12% stanowiła pracownicy przyzakładowego zaplecza technicznego. Zatem na 2 tysiące zatrudnionych 200 osób zajmowało się tylko produkowaniem i przygotowywaniem narzędzi. Te pracownicy muszą tutaj występować. Jak z kolei to porównamy z „Lego”, to stosunek ten mniej więcej się pokrywa.”

Dlaczego zatem, mimo że systemem produkcji zbliżamy się do najnowszych zakładów w świecie, nie mamy tak dużych efektów, jakie osiągały inni? Usprawiedliwianie się, że tworzymy dopiero przemysł zabawkarski, że mamy gorszą technologię, zły park maszynowy, dość przypadkowy układ gospodarski itp. przypomina niekiedy szukanie dziur w „serze szwajcarskim”. Zwalając odpowiedzialność na ojców a nawet dziadków popadamy nieraz w podobne „grzechy” sami. Wydaje się, że dużo jesz-

cze trzeba zrobić, żeby zabawkarstwo stało się rzeczywiście wesołym przemysłem.

CHAŁUPNICTWO

50% zabawek produkowanych w Polsce powstaje metodą chałupniczą. Są to zabawki przeważnie miękkie oraz montowane z poszczególnych elementów. Jakość tych wyrobów nie ustępuje w zasadzie seryjnym, gdyż wyspecjalizowane chałupników jest bardzo wysokie. Ważkim atutem za tym rodzajem pracy w zabawkarstwie jest stosunkowa łatwość rozwiązania zagadnienia pracy tych, którzy z różnych względów nie mogą podjąć pracy w systemie zwartym, fabrycznym. Jest to jeszcze jedna z możliwości wykorzystania rezerw ludzkich. Problemem pozostaje jednak strona techniczna zaopatrzenia chałupników w towary i przewiezenie gotowego produktu do spółdzielni. Zeby zaspokoić bieżące potrzeby transportu chałupniczego potrzeba w obecnej chwili około 100 samochodów dostawczych. Próbuje się stosować półśrodki przez wykorzystywanie taksówek bagażowych; bardzo to podraża koszty a poza tym nie zapewnia rytmiczności pracy.

PERSPEKTYWY ROZWOJU ZABAWKARSTWA

Wzrost produkcji artykułów zabawkarskich powinien następować według istniejących obecnie planów średnio o około 14% w stosunku rocznym. Oczywiście wzrost ten jest stymulowany potrzebami rynku; i tak będzie on minimalny w zakresie zwiększenia produkcji piłek, gdzie popyt został w zasadzie zaspokojony, podobnie wygląda sprawa z instrumentami muzycznymi dla dzieci; wzrosną natomiast dostawy zabawek miękkich, mechanicznych i elektronicznych. W roku 1980 przewiduje się wzrost produkcji zabawek w stosunku do roku bieżącego o 225,9% w cenach detalicznych. Liczba ta wydaje się może nawet imponująca, ale ważniejsze jest aby były to zabawki o coraz wyższej jakości. Inny przykład dobitnie może sugerować postulowany postęp w tym zakresie — Komisja Cen przy KOPZiAP w 1975 r. zatwierdziła nowe ceny na 272 wyroby nowe i zmodernizowane.

Niewątpliwie ambitne plany zabawkarstwa uwarunkowane są rozwojem łódzkiego Ośrodka Badań i Rozwoju oraz specjalizacją poszczególnych producentów w kraju. I tak kieleckie Biuro Konstrukcyjno-Projektowe zostało przestawione na zabawki z drewna, warszawska spółdzielnia „Kontech” specjalizuje się w zabawkach miękkich a zaplecze techniczne Krajowego Związku Spółdzielni Poligraficznych przystosowano do produkcji gier drukowanych.

Łódzki ośrodek w tym układzie pełni rolę wiodącą, przemysł natomiast koncentruje się na produkcji zabawek z tworzyw mechanicznych, elektronicznych i zdalnie sterowanych. Obecnie kończy się prace nad modelem zabawki sterowanej przez pomoc przerywanego impulsu świetlnego, trwają zaś zaawansowane prace nad zabawką poruszana przez pomoc ciosu oraz za pośrednictwem fali radiowej. OBR postawił na daleko posuniętą specjalizację i koncentrację produkcji, na sprawy unifikacji elementów, części i podzespołów. Są to sprawy, które jako jeden z elementów pozainwestycyjnych będą decydowały o przybliżonym wzroście potencjału ekonomicznego tej gałęzi przemysłu.

Przemysł zabawkarski zaczyna dopiero kształtować swój profil i można przypuszczać, mimo wielu różnego rodzaju przeszkód, że w przyszłości stać go będzie na stawienie czoła zagranicznemu produktom. My natomiast w sklepach będziemy mogli kupić ładne i „ładne” zabawki. Potrzebujemy „homo ludens” są bardzo ważne i nie można ich lekceważyć. Lekkość i nieśmiałość traktowanie zabawkarstwa świadczyłoby o epoce „kamienia jeszcze nie rozłupanego” w naszej świadomości gospodarczej. Zresztą nie tylko ekonomia wymaga rozwoju zabawkarstwa; zabawa — jak pisał J. Huizinga — stała się podstawą rozwoju kulturowego. Być może nie jest to najlepszy argument za związkiem kultury i przemysłu, ale bezspornym faktem jest, że integracja taka jest nie tylko potrzebna, ale i konieczna.

U PRZYJACIOŁ

Na południu Niemiec, przy granicy z Czechosłowacją, nad rzeką Solawą leży Naumburg; miasto pięknie położone i licznie odwiedzane przez turystów, w tym także polskich. Już w 1028 roku Naumburg po raz pierwszy wspomniany jest w kronikach jako zamek-warownia margrabiów miśnieńskich. W okresie kiedy wojska niemieckie zdobywały teren wschodnie i kolonizowały je, zamek awansował do roli rezydencji biskupiej. W tym samym czasie miasto zostaje nadane przez cesarza niemieckiego, tamtejszym margrabiom, prawo handlu i rynku.

W ten sposób Naumburg zaczął się rozwijać, nigdy jednak w okresie do 1945 r. nie przekroczył statusu małego miasteczka. Dopiero po wojnie wkroczył tu wielki przemysł. M.in. przemysł obrabiarkowy, przetwórczy drewna i meblowy. Wraz z przemysłem do miasta zawitała nauka. Powstały liczne szkoły i instytuty.

Współczesność daje o sobie znać na każdym kroku. Modernizuje się całe dzielnice. Stara część miasta będzie musiała w niektórych miejscach ustąpić nowym blokom mieszkaniowym. Nowe osiedla buduje się jednocześnie ze szkołami, przedszkolami i sklepami. Nie zapomina się także o takich drobiazgach jak parkingi.

Ale nowoczesność i rozwój usług dla mieszkańców nie pozabawiają Naumburga pięknych zabytków, ani romantycznego pokrzytego nieco patyną czasu charakteru miasta. Architekci projektując nowe obiekty, ściśle współpracują z historykami i konserwatorami zabytków. W wyniku tej współpracy, podczas rozbudowy nowej części miasta, nienaruszona została zabytkowa jedność struktury miejskiej w śródmieściu. Ponadto w całym mieście prowadzone są intensywne i zaplanowane na szeroką skalę prace mające na celu utrzymanie w stanie idealnym istniejących zabytków. Obecnie trwają prace przy rekonstrukcji dachów, tynkowaniu fasad, malowaniu i pozłacaniu figur i rzeźb, zakładaniu rur wodociągowych i kanalizacyjnych oraz kabli. Zakładane są także olbrzymie, kwadratowe płyty chodnikowe.

Zakończenie pierwszego etapu rekonstrukcji przewiduje się na 1982 r. W dalszym terminie kolej przyjdzie na inne prace. A pracy tu nie zabraknie. Miasto posiada wiele zabytków o najwyższej, międzynarodowej klasie.

Do najbardziej znanych zalicza się fara pod wezwaniem św. Wacława. Położony ten późnogotycki kościół powstał po wielkim pożarze w 1517 r. Najbardziej cenne zabytki w kościele to: ołtarz barokowy, rokokowa kazalnica, dwa doskonałe zachowane obrazy Łukasza Cranacha Starszego i oryginalne organy — dzieło Hildebranda, ucznia samego Silbermanna. Organ ten zainstalowano na początku XVIII wieku — pierwszym organistą koncertującym na nich był Jan Sebastian Bach. Organy posiadają 3.921 piszczałek; największa, drewniana liczy sobie 4 m wysokości, najmniejsza z cyny 4 cm. Mieszkańcy i goście Naumburga uczestniczą każdego roku tłumnie w koncertach organowych, szczególnie w okresie Świąt Wiśni, pod koniec czerwca. Koncertuje wtedy organista z zaprzyjaźnionego, bliźniaczego miasta — z czeskiego Taboru. Inna nieco jest historia wieży. Jest ona mianowicie starą wieżą wartowniczą; od roku 1513 jednocześnie miejscem zamieszkania każdego wartownika. O wysokości tej budowli niech przekonają nas liczby. PoDEST widokowy wieży znajduje się na wysokości 65 m i aby wejść na niego trzeba pokonać 244 stopnie stromych, drewnianych, krętych schodów.

Inny, równie interesujący zabytek to katedra naumburska. Początek tej budowli przypada na 1220 rok — powstał wtedy w stylu romańskim wschodni chór. Natomiast pozostała część katedry zbudowana jest w stylu gotyckim. Daleko poza granicami NRD znane są skarby sztuki zebrane w tej katedrze. Zaliczają się do nich m.in. statuy fundatorów znajdujące się w zachodnim skrzydle.

Dużo można by pisać jeszcze o pięknie katedry. Ale zostawmy zabytki i raz jeszcze spojrzmy z góry na miasto. Widzimy je takie jakie ono jest w tej chwili, a więc pełne historii i współczesności. Bardzo urokliwie poprzez swoje przepiękne położenie, poprzez masę zieleni i ogromną ilość ogródków działkowych. Miasto tętniące życiem, młodością i pracą, a także miasto refleksji historycznej i zadumy nad przemijaniem czasu.

Prowadzona w Egipcie od trzech lat polityka „otwartych drzwi”, penetracja obcych kapitałów, odrodzenie wielkiej egipskiej burżuazji i wzrost jej wpływu na polityczne życie Egiptu — na co wskazują nawet zachodni obserwatorzy polityczni — wpłynęły na pogorszenie się materialnej sytuacji mas pracujących, a przede wszystkim egipskiej klasy robotniczej. Dziś, kto ma pieniądze i stosunki, żyje w Egipcie w dostatku i komforcie. Bogate dzielnice Kairu przypominają superluksusowe rejon wielkich zachodnich metropolii. Gdzie by nie spojrzeć,

Nasera reformy rolnej należą do odległej przeszłości. Nikt nie boi się już więzienia za finansowe machinacje. Każdego tygodnia na walutowym czarnym rynku przechodzi z rąk do rąk dwierdziesiąt milionów egipskich. Wieczorem, w godzinach przylotu samolotów pasażerskich z krajów zachodnich, tragarze w porcie lotniczym pracują w godzinach nadliczbowych, wielu bowiem egipskich turystów powraca do domów z lodówkami, pralkami, telewizorami itp. W ministerstwach co drugiego naczelnika nie ma w pracy: jest w podróży zagranicą.

Jeśli się mówi o rozmiarach i tempie wzrostu zagranicznego zadłużenia Egiptu, nieuchronnie nasuwa się pytanie: na jakim gruncie odbywa się ten oszalały „rozkwit”? Dyrektor kairskiej filii wielkiego amerykańskiego banku, zapytany o to przez korespondenta mediolańskiego tygodnika „Epoca”, odpowiada bez owijania w bawełnę: „Nie ulega wątpliwości, że ta droga odłotywa znaczna część pieniędzy, które Egipt otrzymał

blużu meczetu Mohammeda Ali. Dziesiątki tysięcy urzędników o trzymają pensje za to, że nie robiąc siedzą w licznych urzędach państwowych, podczas gdy setki tysięcy nauczycieli, rzemieślników, inżynierów i innych specjalistów emigrują do ościennych krajów arabskich, żeby nie umrzeć z głodu. Zdecydowanymi, rewolucyjnymi decyzjami dażył Naser do położenia kresu analfabetyzmowi, nędzy, chorobom, korupcji, zafacaniu. Do momentu jego śmierci w 1970 roku, mosty łączące Egipt z Zachodem zostały zerwane, a była rządząca elita wygnana z kraju.

Sukces wojskowy w 1973 roku, choć niewiele, ale wzmocnił prestiż Egiptu, nadszarpił podcaz poprzedniej wojny z Izraelem. Przywódcy egipscy wykorzystując to rozwinięli szeroką ofensywę dyplomatyczną i obwieścili politykę „otwartych drzwi”. Tylko w Waszyngton, jak oświadczone, może zmusić Izrael do pójścia na ustępstwa, tylko zachodnie kredyty mogą uzdrowić egipską ekonomikę.

Drugim synajskim porozumieniem Sadat praktycznie położył kres stałowi wojny z Izraelem. Znow otworzył Kanał Sueski. Zachód przyklasnął tej „polityce pokoju”. Oczywiście nie może ona gwarantować pokoju dopóty, dopóki Izrael utrzymuje kontrole nad większą częścią okupowanych terytoriów arabskich. Teraz Kair zaczął pobierać surowe dywidendy ze swojej nowej polityki zagranicznej. Kraje zachodnie otworzyły mu kredyty na miliardy dolarów. Sadat zabrał się do ścisłego powiązania egipskiej ekonomiki z ekonomią Zachodu. Tworzono mieszane kompanie z 50-procentowym udziałem firm zachodnich — kompanie te miały budować wielkie zakłady przemysłowe. W Egipcie nie brakuje taniej siły roboczej, ponadto zagranicznym inwestorom zagwarantowano ulgi podatkowe i prawo swobodnego wywozu zysków. Bankierzy, przedsiębiorcy, handlarze obsiedli Nil, jak muchy miod. Wielu z nich otworzyło swoje biura handlowe i założyło filie. Naftowi miliardery zaczęli skupować pałace. Kair przekształcił się w schronisko międzynarodowych spekulantów. Jednakże 2 lata po ogłoszeniu polityki „otwartych drzwi” zaczyna się ustalać przekonanie, że Egipcjanie nie będą w stanie „uścić rachunku”, a wielu biznesmistrzów poczuło, że egipski „miod” ma gorzki posmak.

Polityka „otwartych drzwi” wzbudziła nieuzasadnione nadzieje i w Egipcie, i na Zachodzie. Rozczarowanie może mieć charakter wybuchowy, i to nie tylko w Egipcie. Podczas gdy poziom egzystencji mas leci w dół, bezczelne wystawianie na pokaz bogactwa tych dwóch czy trzech tysięcy cwaniaków, którzy zgarnęli zyski z polityki „otwartych drzwi” wygląda na prowokację. Egipski dziennikarz, Mohammed Sidi Achmed uważa, iż wielu obywateli, których bogactwa w czasach Nasyra zostały upaństwowione, a oni sami opuścili wtedy kraj, powraca, żeby znow zażąć się biznesem. Większość z nich stara się wzbogacić na importach, a następnie wywieźć zdobyte bogactwa w spokojniejsze miejsce.

Sadat oświadczył, że zamierza przekształcić Egipt, we współczesne państwo uprzemysłowione, z wielkim przemysłem, zmechanizowanym rolnictwem, rozwiniętym przemysłem samochodowym. Władze egipskie importują więc zachodni model rozwoju

ju gospodarczego, nie licząc się z tym, iż nie pasuje on do krajów rozwijających się. Główną stawką jest tu ekonomiczna pomoc z zagranicy.

Na razie pomoc zagraniczna wywołala w praktyce tylko zafalszowany „cud gospodarczy”, skondensowany w Kairze. Setki tysięcy ludzi ciągnie do stolicy, chociaż na brak siły roboczej cierpią przede wszystkim rejon rolnicze. Kair nadal „rośnie”, a ściślej — pęcznieje, podczas gdy prowincje stacają się na samo dno nędzy.

JERZY CZECH

3500 adresów AEROFŁOTA

„Aeroflot”, absolutny światowy „monopolista” w transporcie powietrznym, zajmuje przodujące miejsca na międzynarodowych liniach lotniczych, pozostawiając daleko w tyle kompanie amerykańskie. W 1974 roku „Aeroflot” przewiózł 90 i pół miliona pasażerów i około dwu i pół miliona ton ładunków, podczas gdy największa zachodnia kompania lotnicza „United Airlines” przewiozła w tym samym roku 30,6 miliona pasażerów i 444 tysiące ton ładunku. Samoloty „Aeroflotu” latają do ponad 3500 miast i osiedli Związku Radzieckiego. W 1975 roku przewiózł on ok. 98 milionów pasażerów (!) i ponad 2 i pół miliona ton ładunku.

Lotnictwa w Związku Radzieckim używa się szeroko dla potrzeb rolnictwa: wlosną do rozpylania nawozów, a jesienią do opryskiwania krzewów bawełnianych. Z powietrza prowadzi się także obserwację 700 milionów hektarów lasów. Dzięki temu udaje się zaważać wykryć ok. 75 proc. pożarów.

Radzieckie lotnictwo sanitarne wykonuje około 100 tysięcy lotów, okazując pomoc lekarską w najdalej wysuniętych zakątkach kraju.

Badanie np. rejonów Syberii, wznoszenie na tych rozległych terytoriach kompleksów energetycznych i przemysłowych także w dużym stopniu zależy od lotnictwa cywilnego. Na Syberii używa się samolotów towarowych AN-12 oraz śmigłowców Mi-6 o udźwigu 12 ton.

Ogólna długość międzynarodowych linii lotniczych „Aeroflotu” wynosi ponad 300 tysięcy kilometrów. Utrzymuje on regularną łączność między Moskwą i 69 krajami świata. Związek Radziecki ma także połączenia lotnicze z 18 krajami afrykańskimi.

Już 2 lata funkcjonuje w ZSRR system „Syrena” — elektronicznego zamawiania miejsc w samolotach, sprzężony z ponad 300 miastami Związku Radzieckiego.

(JC)

EGIPT

SADATA „CUD” NAD NILEM

wszędzie strzelają w niebo drapacze chmur, ich luksusowe mieszkania są przeznaczane wyłącznie na sprzedaż. Pokoje hotelowe i bilety na samoloty międzynarodowych linii lotniczych rezerwuje się kilka tygodni wcześniej. Fala turystów zalewa Kair, ruch uliczny jest tak chaotyczny, że wydaje się bardziej intensywny, niż w Paryżu czy w Rzymie.

W restauracji hotelu „Hilton” podaje się befsztyki dostarczane z Nowego Jorku. W hotelu „Meridian” butelka holenderskiego piwa kosztuje ponad 2 i pół dolara (cena na Zachodzie około 50 centów). W salonach lansuje się ostatnie modele paryskiej mody. Niedawno otwarte luksusowe magazyny mogą zaspokoić wszelkie kaprysy przedstawicieli nowej klasy, posiadającej w kraju ogromne wpływy. Na ekranach kin propaguje się nowy typ filmowego bohatera — kutego na cztery nogi, kombinatora handlowego, zajmującego się operacjami importowo-eksportowymi i kursującego między Kairem, Paryżem, Londynem i Nowym Jorkiem.

Na ślubach i innych uroczystościach rodzinnych damy kairskie burzują znow wystawiając na pokaz publiczny swoje drogocenne klejnoty. Czas ekspropriacji i przeprowadzonej przez

z Zachodu, żeby rozkręcić ekonomikę”.

Pewien zachodnioeuropejski dyplomata ujął to szerzej: „W 1973 roku Egipt otrzymał pomoc finansową w wysokości ponad 2 mld dolarów. Z tej sumy z górą 300 mln dolarów użyczyto do zamiany krótkoterminowych pożyczek na średnio- i długoterminowe. Gdzie się podziały reszta tych miliardów — na razie nie wiadomo. Kraj ten otrzymuje naprawdę imponujące kredyty, ale nie umie ulokować tych pieniędzy w inwestycje przemysłowe”.

Do klasy robotniczej i warstw społecznych mało zarabiających nie dociera z tych wielomiliardowych pożyczek nawet złamany grosz. W ciągu ostatnich dwu i pół lat koszty utrzymania wzrosły o 70 proc., co w pierwszej kolejności uderzyło w zarabiających poniżej 100 dolarów miesięcznie, którzy muszą teraz dobrze pokreślić głowę, żeby jakoś związać koniec z końcem. Rząd podjął próbę utrzymania na niskim poziomie cen na podstawowe artykuły żywnościowe i jednocześnie zwiększenia subsydów dla dostawców produktów rolnych. Jednakże tempo inflacji wynosi ponad 30 proc. rocznie i zarobki pracowników nie mogą za nią nadążyć. Rośnie nędza. Co roku rodzi się o 800 tysięcy dzieci „za dużo”. Liczba mieszkańców Kairu wzrosła niemal dwukrotnie w ciągu ostatnich 4 lat: z 5 milionów do 8,5. Kryzys mieszkaniowy nabrał niespotykanej dotąd ostrości, bezdomni Egipcjanie mieszkają w „mieście zmarłych”, to znaczy na starym cmentarzu w po-

W świecie zachodnim zmiany i kłopoty

Pożegnaliśmy 1976 rok z przekonaniem, że dla pokoju na świecie nie był to rok zły. Wprawdzie do końca nie spełnił pokładanych w niego nadziei, jednakże rządzie niż w poprzednich latach agencje donosiły o wojnach i krwawych rebeliach. Znacznie więcej ludzi zginęło w następstwach trzęsień ziemi, powodzi i huraganów niż od sił zniszczenia, kierowanych przeciwko nim przez innych ludzi. W sylwestrowy i noworoczny dzień nigdzie nie rozległy się strzały i więcej było wiary w możliwość niewojennego regulowania sporów i konfliktów.

Niestety — pożegnaliśmy miniony rok także ze świadomością, że co najmniej w trzech krajach świata: w Chile, Rodezji i Południowej Afryce panoszą się krwawe reżimy, które swą władzę wykorzystują do prześladowania ludzi i że mimo postępów w procesie dekolonizacji w różnych rejonach — nie brak wciąż przeciwników suwerennych praw ludności i samodzielnego bytu narodowego.

Był to też rok wielkich skandali, żeby chociażby przypomnieć o aferze, mającej swe źródło w amerykańskim koncernie Lockheed Aircraft Corporation. Wysokimi sumami korumpowano większych i mniejszych polityków. Z tego powodu musiał ustąpić japoński premier — Tanaka, a ho-

lenderski książę Bernhard zmuszony został do rezygnacji ze wszystkich swych oficjalnych stanowisk. Macki koncernu sięgały również do RFN Belgii i Włoch, ale tam skandale jakoś zatuszowano.

Świat zachodni miał jednak kłopoty przede wszystkim ze swą gospodarką. Oczekiwana poprawa nie nastąpiła — inflacja i bezrobocie stały się zjawiskami jeszcze powszechniejszymi. Na domiar — nasyliły się znow kryzysy walutowe. Ucierpiała na tym najwięcej Anglia, gdyż funt szterling obniżył swą wartość w stosunku do dolara o dalsze 20 proc. Prognoza na nowy rok dla Anglii, Francji, Włoch i kilku innych krajów nie jest optymistyczna. Decyzja producentów ropy naftowej o kolejnej podwyżce cen komplikuje sytuację jeszcze bardziej. Nie będzie to rok łatwy również dla gospodarki Stanów Zjednoczonych. Coraz głośniejszy mówi się o tym, że stosunkowo niska w wyborach przewaga Cartera nad Fordem spowodowana została osłabieniem nadziei na możliwość dzwignięcia amerykańskiej gospodarki i zapobieżenia dalszej recesji.

Miniony rok można określić jako rok dużych zmian politycznych. W W. Brytanii premierem został Callaghan, we Francji na stanowisku szefa rządu Chiraca zastąpił Barre,

w Szwecji doznał porażki wyborczej Olof Palme, w Japonii, o czym już wspomnieliśmy, musiał złożyć urząd Tanaka... Inaczej ukształtował się układ sił we Włoszech i dziś mniejszościowy rząd Andreottiego może się utrzymać przy władzy tylko przy wsparciu komunistów. W Portugalii najwięcej mandatów w jednoizbowym parlamencie zdobyli socjaliści. Pewnego manewru politycznego dokonał Juan Carlos, zmieniając premiera, chociaż droga Hiszpanii do demokracji życia nie jest jeszcze prosta.

Przypomnijmy w tym miejscu, że duże przegrupowanie nastąpiło ponadto w Chinach — niemal bezpodstępnie po śmierci Mao Tse-tunga Odsunięcie od wpływów grupy radykałów i rozpoczęcie przeciwko nim publicznej kampanii jest kolejnym etapem walki o władzę. Czy ostatnim i z jakimi następstwami w polityce wewnętrznej i zagranicznej — trudno prognozować.

Wystarczy z pewnością tych przykładów, aby stwierdzić, że w 1977 roku na scenie międzynarodowej występować będą częściowo inni politycy niż ci, którzy rozpoczęli miniony rok. Czy będzie to miało jakieś znaczenie czy też nie — pokaże dopiero czas.

Kalendarz polityczny 1977 roku przedstawia się bogato, będzie obfi-

tował w wiele wydarzeń — między narodowych spotkań i wielkich podróży. Ułatwi więc odpowiedź na pytanie, czy zmiany, o których piszemy, będą miały wpływ na stosunki między państwami.

Przykładu tego, że przy dobrej woli stosunkowo nietrudno przejść nawet od stanu wojennego do normalnych, pokojowych kontaktów, dostarczyły w minionym roku Indie i Pakistan. Rozpoczęty dialog toruje drogę trwałemu pokojowi i zaostrza wielomilionowych kwot, które w przeciwnym wypadku wydane byłyby na zbrojenia.

Jest we współczesnym świecie wiele wielkich złożonych, a nierozwiązanych jeszcze problemów. Ale jest też wiele spraw mniejszych, które zanim staną się problemami mogą i powinny być rozstrzygnięte na tej linii, na jakiej się pojawiły. I dia tego piszemy o zachęcającym przykładzie Indii i Pakistanu.

Oczekujemy po nowym roku, że przyniesie dalsze umocnienie pokoju i rozwój dobrych stosunków między państwami, że pozwoli kierować uwagę na pełniejsze wykorzystanie możliwości państw dla dobra człowieka.

W. SŁAWSKI

*) Pełniejszą ocenę — pokojowych tendencji, inicjatyw i wydarzeń — zawarliśmy w poprzednim, noworocznym komentarzu.

Medale i spirytus

Rok temu dostaliśmy „przesławne łanie” w Innsbrucku, a wyrażając się ściśle, dostali je nasi sportowcy. Krzyku było na ten temat co niebawem, odbyło się kilka lub może nawet kilkanaście narad, spisano stopy protokołów, sformułowano niezwykle wnikliwe wnioski, podjęto uchwały i postanowienia. I na tym się w zasadzie wszystko skończyło. Tak można przynajmniej sądzić po pierwszych wynikach, jakie osiągnęli nasi sportowcy.

Wprawdzie gdy to pisał Turniej Czterech Skoc... i jeszcze się nie zakończył, ale sprawozdawała telewizyjny szczytę poinformował kibiców, że Stanisław Bobak mało trenował i nie ma co się spodziewać, że nawiąże równorzędnej walkę z najlepszymi narciarskimi skoczniakami. W Obersdorfie zajął wprawdzie II miejsce, ale już po dwóch konkursach spadł na 16. Janusz Walusiak zajął 60 miejsce, a Henryk Tajner — 64.

Chwaliłiśmy wszyscy naszych hokeistów za bardzo ładną postawę i ofiarną grę w Katowicach, ale jak wiemy — drużyna nasza spadła do grupy „B”. Mimo ofiarności nie dorównała najlepszym. Wario byłoby wiedzieć wobec tego, jak spisują się ich następcy, ci którzy powinni zająć pierwszy zespół? W CSRS właśnie zakończyły się mistrzostwa świata juniorów i nasz zespół zajął... ostatnie miejsce. W CSRS okazało się, że najlepszymi następcami ZSRR, Kanady i CSRS, Ponoć ośmiennastoletki na turnieju w RFN spisują się znacznie lepiej. Wygrali ze Szwajcarami i zremisowali z drużyną RFN. Ale to słaba pociecha.

W Zakopanem na 14 narciarskim biegu sylwestrowym triumfowały narciarki z CSRS: Anna Pasierowa i Gabriela Sekajova. Hokejowy Puchar Bydgoszczy też zabrali goście i to również z CSRS, a konkretnie zespół TJ Gottwaldov. Drugie miejsce zdobyli hokeiści z Dynama Berlin, a gospodarze — trzecie, na cztery zespoły biorące udział w turnieju.

Wszyscy uparcie twierdzą, że rok 1977 ma być ponoć rokiem niebawem szczęśliwym, bo to jest rok aż dwu siódmek. Nie jestem jednak pewna, czy ten „rok dwu siódmek” będzie szczęśliwy dla naszych narciarzy, hokeistów, skoczków narciarskich, łyżwiarzy. Moja wątpliwość bierze się stąd, że o powodzeniu decydują nie tyle „dwie siódemki”, co systematyczna praca, dobra kondycja i wysoki poziom sportowej techniki. A z tym — jak wszystko wydaje się wskazywać — nie jest najlepiej.

Co prawda niektórym sportowcom nie brakuje pomysłów. Nie są to jednak pomysły oryginalne. Chodzi mi tu o naszych narciarzy, którzy próbowali zawieźć do Finlandii 285 butelek spirytusu. Niestety, celnicy finscy nie mają ani poczucia humoru i nie poznali się na dowcipie, ani nie dali się przekonać o tym, że spirytusem smarują się narty. Narciarze ciuśpsem wrócili do kraju i — jak do tej pory — zrobili się cicho wokół całej tej sprawy.

Dalszy ciąg sprawy można właściwie dość dokładnie przewidzieć. Odbędzie się znowu kilka narad, konferencji i spotkań, na których wygłosi się kilka referatów o potrzebie wzmożenia pracy ideowo-wychowawczej. Później się szereg niebawem konstruktwnych wniosków, uchwał i postanowień i na tym cała sprawa się skończy. Aż znowu jakiś żil celnicy nakryją kolejną ekipę sportową na kolejnym przemycaniu czegosiem. Wtedy ponownie wygłosi się ileśtam referatów o potrzebie wzmożenia pracy ideowo-wychowawczej, podejmie się uchwały i postanowi się to i owo.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że w powszechnym odczuciu nie traktuje się u nas przemytu jako przestępstwa, a jedynie jako świadectwo obrotności i umiejętności urządzenia się w życiu. Wystarczy powiedzieć tylko komuś ze znajomych, że jedzie się za granicę, aby usłyszeć dobrą radę, co w tym czy innym kraju „idzie”, co trzeba kupić, aby wyjazd się „opłacił”. Nawet wyjazd służbowy za państwowe pieniądze. Powracających za granicę nie pyta się u nas, co widzieli, czego się dowiedzieli, czego się nauczyli, a tylko: co przywieźli? Jak tu się dziwi sportowcom, że też chcą być „normalnymi ludźmi”?

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że sportowcy też „wożą” za granicę różne rzeczy, aby sobie coś „przywleźć”. A jeśli nawet wpadną, to patrzy się na to z przyzwyczajeniem oka. Bywały już wypadki naruszenia prawa przez różnych prześlawiecieli różnych sportowych dyscyplin, ale do brzo działacze sportowi w trosce o medale, punkty ligowe i awanse w tabeli, ratowali i opresili swoich pupiłów. W imię wyższych celów. Dla dobra sportu. A jeśli już na kogoś spada kara, to albo przestał się liczyć w klubowej taktyce i strategii, albo wyrażenie przełożenia, który od dawna sobie wiele pozwalał, ale póki jeszcze zdobywał medale, póki był potrzebny, do tej pory wszystko mu uchodziło na sucho. Aż wreszcie nadszedł kres. Po prostu przestał być potrzebny.

Tylko, że tak postępowanie jest też swoistą pracą „ideowo-wychowawczą”. Wychowuje w zupełnie niewłaściwej ideologii. Uczy bezkarności i braku szacunku dla społeczeństwa. Przeciwnie dla kształtowania takich społecznie ujemnych postaw nie mogą być ani konferencje, ani referaty, ani uchwały.

BOGDA MADEJ

Koncepcje teoretyczne w rozmaity sposób porządkują ogół form uczestnictwa dzisiejszego człowieka w kulturze. A. Kłosowska w książce „Społeczne ramy kultury” przyjmuje, że aktywność kulturalna Polaków skupia się w trzech podstawowych układach. Po pierwsze na poziomie stosunków towarzyskich, po drugie poprzez uczęszczanie do miejscowych instytucji i placówek kultury, po trzecie wreszcie drogą kontaktu ze środkami masowego przekazu, takimi jak prasa, radio, telewizja. Kultura ze środków masowego przekazu, a więc zespół treści przesyłanych wielkim publicznością z jednego bądź najwyżej kilku źródeł, nie ma wyraźnego przypisania lokalnego. Treści odbierane w tym układzie są identyczne dla wszystkich odbiorców niezależnie od miejsca ich zamieszkania. Telewizyjnie i słuchacze radia niezależnie czy są mieszkańcami Warszawy, Łodzi czy podbełchatowskiej wsi, mają takie same szanse recepcji treści z obiegu masowego. Inaczej ma się rzecz z siecią placówek lokalnych. Szanse na bogate uczestnictwo w kulturze są tu dla różnych środowisk Polaków inne i wyznaczane bywają wieloma czynnikami: stopniem zurbanizowania ośrodka, jego tradycją kulturalną ale także i jego siłą gospodarczą. Rozwój sieci lokalnych placówek kultury takich jak kino, teatr, muzeum, filharmonia, kawiarnia, księgarnia, biblioteka, klub, itd., odróżnia wieś od miasta, w wypadku zaś ośrodków miejskich nie bez znaczenia jest wielkość aglomeracji. Z drugiej strony na możliwościach uczestnictwa kulturalnego w drugim układzie ważny także organizacja i wyposażenie materialne terenowych placówek, a przede wszystkim przygotowanie fachowe i talenty zatrudnionej tam kadry.

Sieć placówek posiada w każdej miejscowości lokalną charakterystykę, może ona w porównaniu z innymi ośrodkami lepiej lub gorzej zaspokajać potrzeby mieszkańców. Zatem analizy tej infrastruktury mogą iść w dwu kierunkach. Można mianowicie porównać sieć np. łódzkich placówek kultury z organizacją takichże placówek w innych wielkich miastach w Polsce. Ale można też porównać mapę łódzkich instytucji kultury z oczekiwaniami i uświadomionymi potrzebami mieszkańców. Przedstawione tu badanie posłużyło się tą ostatnią metodą, sondażowo ono opinie mieszkańców Łodzi nt. przestrzennego układu ogniw obsługi kulturalno-społecznej. Na zlecenie i przy pomocy Łódzkiego Domu Kultury rozestawiamy ponad dwa tysiące ankiet pocztowych do ludzi wylosowanych w miejskim biurze adresowym. Zebrane 850 ankiet reprezentuje zgodnie z prawdomównoństwem statystycznym opinie ogółu Łożdzian w określonych przedziałach wieku, płci i liczebności z uwzględnieniem podziału na dzielnice.

Nie wystarczy powiedzieć, że działalność instytucji kultury jest określona miejscowymi warunkami. Rzecz polega na tym, że inny zakres przypisania lokalnego przysługuje każdemu elementowi budującemu całą sieć. Jest oczywiste, że muzea i teatry mają najszerszy zasięg oddziaływania przestrzennego, mają status ogólnomijski, podczas gdy biblioteki są najwyżej przypisane, ich lokalizacja rozpatrywana jest w układzie osiedla czy kwartału ulic. W badaniu jednak nie chcieliśmy poprzestać na intuicji zaletwie lecz postawiono pytanie jak ogół mieszkańców Łodzi wyobraża sobie kontinuum placówek przydomowej — placówek śródmiejskiej. W tym celu poproszono Łożdzian o przyporządkowanie każdej placówki kultury jednej z trzech możliwości: czy powinna to być placówka zlokalizowana w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca zamieszkania, zatem na najbliższym skrzyżowaniu, czy może jest to instytucja, do której warto dojeżdżać nawet i 2-3 przystanki, bądź może mamy do czynienia z instytucją o statusie ogólnomijskim, którą najlepiej byłoby umiejscowić w śródmieściu. Było to więc pytanie co w kulturze łódzkiej zaliczone jest przez jej mieszkańców do elementów bezpośredniej obsługi, które zaś czony całej infrastruktury mogą liczyć na uczestników nawet z odległych osiedli.

Okazało się, że tylko bibliotekę i kawiarnię chcieliśmy widzieć zapytani Łożdzianie w bezpośrednim sąsiedztwie domu. Jeśli idzie o dotychczasową praktykę organizacji sieci bibliotecznej, to w istocie biblioteki rejonowe i punkty biblioteczne sytuowane są na ogół zgodnie ze stwierdzonymi tu oczekiwaniami społecznymi. Rozwój sieci zmierza do takiego przestrzennego nasycenia by rejon obejmował jednostki urbanistyczne znacznie mniejsze od dzielnic czy osiedli. Nieco nieoczekiwane jest natomiast żądanie by także kawiarnię zaliczyć do placówek obsługujących najmniejszy kwartał ulic. Pośród przydomowych placówek kultury chcieliśmy zatem Łożdzianie widzieć zarówno ognisko kultury wyż-

szej, symbolicznej, duchowej, jak i miejsce sprzyjające po prostu wypoczynkowi, relaksowi i zaspokajające mniej może wysublimowaną potrzebę wrażeń i kontaktów społecznych.

Dalej zapytywani wymieniali instytucje, jakie ich zdaniem mogą być zlokalizowane w odległości 2-3 przystanków od domu. Tutaj była już mowa o podstawowych elementach osiedlowego czy nawet dzielnicowego centrum kultury. W odczuciu mieszkańców w osiedlu obok kilku kawiarni i bibliotek powinny znaleźć się dom kultury i kino. Część wypowiadających się uznała jednak, że dom kultury można by przenieść poza granice osiedla, wystarczyłoby gdyby działał on w centrum dzielnicowym, a nawet w śródmiejskim. Jest w każdym razie charakterystyczne, że Łożdzianie bliżej chcieliby mieć kino niż dom kultury. Jakie wnioski wynikają stąd dla działacza i organizatora kultury? Wiadomo skądinąd, że kino osiedlowe, oddalone od centrum nie prosperują najlepiej. Wypełniająca w znacznej części kinową widownię młodzież dosyć łatwo podejmie decyzję wyprawy do centrum na wybrany film. Z drugiej strony właśnie placówki kulturalno-oświatowe może nie wielkości do-

stopień rozwoju sieci placówek różnicuje nie tylko ośrodki wzajem odległe geograficznie, ale w wielkich aglomeracjach takich jak Łódź wywołuje odmienność szans kontaktu z kulturą ludzi z sąsiednich dzielnic i osiedli. Łódź rozwijała się zgodnie ze złożonymi prawami przemian społecznych, konieczności urbanistycznych i przemysłowych. Historyczne warunki pozostawiły w rezultacie układ instytucji, w którym idea równomiernego nasycenia całości obszaru nie jest zapewne najważniejsza. Przedstawiane tu badanie stawiało zatem problem przestrzennego nasycenia Łódzi elementami kultury. Zmierzało do odpowiedzi na pytanie czy w społecznym odczuciu mieszkańców infrastruktura kulturalna rozwinięta jest równomiernie? Czy zostaną ujawnione strefy miasta, w których brak jest miejsc kontaktu z kulturą? Słowem — w jakim stopniu działają w Łodzi, a działają muszą w każdym wielkim mieście, ekologiczne ograniczenia uczestnictwa. Część zagadnień w tej kwestii Łożdzianie uznali, że ich osiedle jest wystarczająco zaopatrzone w podstawowe urządzenia i usługi kulturalno-socjalne. Ale byli i tacy respondenci, którzy skwapliwie korzystali z okazji by uzupeł-

wskazanej okolicy działa przy ul. Siedleckiej Międzyzakładowy Dom Kultury i trzy inne małe kluby. Na pierwszy rzut oka widoczna jest niedostateczna informacja o tych instytucjach, ale być może daje tu znać o sobie bardziej zasadniczy fenomen psychospołeczny, o czym za chwilę. Ostatnim rejonem, o którym należy wspomnieć jest ulica Główna. Jej przebudowa i wyburzenia rozrzedziły chyba sieć miejsc wypoczynku. Choć i tu głosom respondentów przeciwstawiać można fakt, że działają w omawianej okolicy kluby przyzakładowe na Orle, Wodnej, Wysokiej i PKWN. Niezauważane przez ludzi klubów od dawna przecież działających dowodzi, że zasięg przestrzennego oddziaływania tego typu ogniw jest mały, być może warto chodzić do klubu najwyżej na sąsiednią ulicę. Ale może ujawnia się tu, iż w świadomości Łożdzian placówką, którym patronuje zakład pracy są nakierowane raczej na własną załogę. Jeśli chcemy zakładowe domy kultury i kluby włączyć do infrastruktury miejskiej, to reklama i informacja dotycząca tych placówek, które są otwarte dla okolicznych mieszkańców musi przełamać wśród Łożdzian pewien stereotyp myślenia oddzielającego instytucje miejskie i spółdzielcze od zakładowych.

Oczywiście w najlepszej sytuacji pod względem dostępności elementów drugiego układu znaleźli się mieszkańcy Śródmieścia. Instytucje kultury zlokalizowane w centrum miasta służą Łożdzianom wszystkich dzielnic i jak widzieliśmy niektóre z nich są zgodnie określone jako placówki typu tylko śródmiejskiego. Spór trwał jedynie w odniesieniu do kina. Czy podstawową liczbę kin skupić w śródmieściu czy też część z nich przypisać do większych osiedli mieszkaniowych? Wypowiedzi ludzi zapytywanych zależały tu nie tyle od ich wykształcenia i statusu społecznego co od wieku. Śródmiejskie kino, kawiarnia, itd. lepiej służą ludziom młodym i bardziej mobilnym fizycznie. Czynniki demograficzne dają znaczenie w inny jeszcze sposób na przykładzie Śródmieścia i w ogóle terenów o starej zabudowie. Stosunkowo częściej niż gdzie indziej pojawiają się w Śródmieściu postulat stworzenia jeszcze większej liczby domów dziennego pobytu dla starszych. Być może z dziecinie z dawną zabudową częściej wyprawdają się już ludzie młodzi. Wskutek tego podczas gdy na obszarach miast, w dynamicznie rozwijających się osiedlach mówią o osenach, boskach, dyskotekach, to w Śródmieściu bardziej typowy jest pomysł organizacji domu dziennego pobytu.

W krótkiej tej analizie dotknąłem dwu zagadnień przestrzennej organizacji kultury w Łodzi. Zastanawiałem się w jakie podstawowe elementy obsługi kulturalnej zaopatrzone być mogą osiedla, dzielnica i centrum miejskie. Było to rozważanie modelowe, ale jak widzieliśmy uświadomione na razie potrzeby Łożdzian nie wybiegają wyraźnie poza pomysły praktyki urbanistycznej. Drugi za-
prezentowany tu zabieg choć badań równomierności nasycenia przestrzennego placówkami, nie miał wszakże wyrażać idei, że nasycenie takie musi być bez reszty identyczne dla każdej jednostki urbanistycznej. Zmienność zagęszczenia jest tu zupełnie naturalna, a odległość od placówki kultury mierzy się nie kilometrami lecz „odległością ekologiczną” uwzględniającą także dogodność dojazdu miejskimi środkami komunikacji. Wreszcie są takie miejsca wypoczynku, które ze swej istoty obsługują mieszkańców najbliższego terenu i są inne typy instytucji, których zasada wyraża się promieniowaniem na większą odległość. Kultura wyższa ma większą siłę przyciągania gdy skupia się w centrach dzielnicowych i miejskich, gdy placówki grupowane w całe zespoły tworzą wokół atmosferę skupienia, wysiłku twórczego i odbiorczego, wysokich aspiracji, a może nawet pewnego snobizmu.

Problem przestrzennego planowania kultury jest w Łodzi szczególnie skomplikowany choćby i z tego względu, że miasto najbardziej dynamicznie rozwija się na pobrzeżach i znaczna część mieszkańców żyje i pracuje poza „city”. Stwarza to sytuację bardziej specyficzną w Łodzi niż w jakimkolwiek innym mieście. Rozwijające się gwałtownie budownictwo spółdzielczości mieszkaniowej z reguły zawiera jakieś koncepcje obsługi kulturalno-socjalnej. Programy takie konstruowane w odniesieniu do wznoszonego osiedla powinny w jakiś sposób przylegać do bardziej syntetycznych zamysłów dzielnicowego i miejskiego ośrodka kultury. To samo dotyczy placówek kulturalnych towarzyszących inwestycjom przemysłowym na pobrzeżach miasta. Osiedlowa i dzielnicowa infrastruktura kulturalna powstaje wspólnym wysiłkiem mecenasa miejskiego, związkowego i spółdzielczości mieszkaniowej.

BOGUSŁAW SUŁKOWSKI

PLANOWANIE KULTURY

mu kultury ale klubu, uważało się dotąd za prawie przydomowe ogniw sieci. Zapytywani mieszkańcy nie byłiby skłonni jednakże potwierdzać przestrzennego zasięgu placówki kulturalno-oświatowej w tej samej perspektywie co biblioteki. Oczywiście nie warto deklaracji ludzkich głoszonych w mało zobowiązującej sytuacji wypełniania ankiety traktować jako jedynę źródło wiedzy o faktach społecznych. Równie ważne są tu doświadczenia z praktyki upowszechniania kultury w mieście. Zaledwie zarysowana dyskusja zdaje się wskazywać, że na większą popularność może liczyć terenowe ogniw, które nie absolutyzuje swej funkcji kulturalno-oświatowej, lecz raczej przyląca ją lub wzbogaca innymi oddziaływaniami. Są zapewne już dziś przykłady klubów i domów kultury uwzględniających w swym programie architektonicznym i organizacyjnym także kawiarnię, bibliotekę, kino itd.

Zgodnie z oczekiwaniami ogół mieszkańców sytuuje teatry muzea i filharmonie w jednym ogólnomijskim centrum. W społecznej ocenie są to punkty promieniowania przestrzennego, ale ich atrakcyjność jest dostatecznie duża by warto było do nich podróżować. Odległa dla mieszkańców osiedla lokalizacja śródmiejskich instytucji zapewne w rzeczywistości jakoś ogranicza liczbę uczestników, ale równocześnie wytwarza ona wśród tych którzy stali się już bywalcami określony stosunek odbiorczy. Wyprawa do teatru czy muzeum nie jest rzeczą przypadkową, jest świadomym aktem udziału w kulturze wyższej. Rzecz jednak w tym, że obok teatru, muzeum filharmonii do śródmieścia przesuwa się Łożdzianie także klub książki i prasy, galerię plastyczną i dyskotekę. Zapewne na takich wyobrażeniach i oczekiwaniach ciąży obraz aktualnego układu ogniw kultury w mieście. Jest jednak kwestia niedalekiej przyszłości zasadnicze wzbogacenie osiedlowych infrastruktur w nowych dzielnicach mieszkaniowych. Już dzisiaj można myśleć właśnie o dzielnicowym, a nie tylko śródmiejskim, lub nawet o osiedlowym centrum kultury, w którym obok bibliotek, kawiarni, ognisk pracy z młodzieżą, kina, znajduje się także klub książki i prasy, dom dziennego pobytu ludzi starych, salon wystawowy, dyskoteka, itp. Przytoczony z ankiet przykład minimalistycznych dosyć ociekawań w kwestii gościoci sieci kulturalnej poucza, iż uświadamiane społeczne potrzeby kulturalne nie mogą być jedną podstawową dla działacza i organizatora. Potrzeby odziewane są plastyczne, łatwo ulegają poszerzeniu właśnie pod presją nowych propozycji i w sytuacji wzbogacenia instytucjonalnej sieci.



CHINY 66

Od wielu lat w Chinach zachodzą przemiany, które dla wielu ludzi na świecie są interesujące. Ale polityka, która nie do końca zrozumiała. Był „wielki skok”, była „rewolucja kulturalna”, a teraz po śmierci Mao Tse-tunga — trwa krytyka „czterosobowej bandy”. Jakże źródła, źródła te zjawiska i procesy, jakie kryły się za nimi mechanizmy? Odbierając polityczne przemiany zachodzące w Chinach, nie można pominąć tych pytań, nie można nie szukać na nie odpowiedzi.

Stanisław Głąbiński — dziennikarz i publicysta — który jako korespondent Polskiej Agencji Prasowej wiele lat spędził na Dalekim Wschodzie, wydał już kilka książek poświęconych sprawom Chin. Wydał on między innymi książkę „Ameryka patrzy na Chiny”, „Mao i inni”. A obecnie kolejną książkę poświęconą sprawom Chin — „Rok Pionącego Konia”.

„Rok Pionącego Konia” jest powieścią. Jej akcja rozgrywa się w 1966 roku, a więc w czasach „rewolucji kulturalnej”. Ale „rewolucja kulturalna” nie jest tutaj tylko tematem, jest zasadniczą treścią tej książki. Bohaterami powieści są Chiny, a nie cudzoziemcy należący do różnych służb wywiadowczych, albo się o sprawy wywiadowe świadomie czy nieświadomie ocalają. Wprowadzeni oni są na łamy tej powieści między innymi po to, aby tym łatwiej można było ukazać mechanizmy, jakie uruchomiły i kierowały „rewolucją kulturalną”.

Stanisław Głąbiński posłużył się metodą wielokrotnie już stosowaną, pod postacią fikcyjnych kryjących postacie rzeczywiste, występujące w historycznych zdarzeniach. Taki zabieg pozwala więcej powiedzieć o pewnych sprawach, ukazać je ostrzej, a o to autorowi przecież chodziło. Powieść Stanisława Głąbińskiego dzieje się bowiem w konkretnej rzeczywistości Chin czasu „rewolucji kulturalnej”, którą autor opisuje i bezpośrednio obserwował. To sprawia, że chwila, którą powieść bardziej nosi reportażowy i publicystyczny charakter niż literacki.

Stanisław Głąbiński dokonał jeszcze dwóch koniecznych zabiegów. Nadal swojej powieści charakter utworu sensacyjnego. Rzecz dzieje się bowiem w środowisku zawodowych szpiegów i pokazuje ludzi, którzy zostali wciągnięci w ich machinacje. To sprawia, że książkę czyta się z wielkim zainteresowaniem już nie tylko dla jej warstwy politycznej, bo jest to mimo wszystko powieść polityczna — ale również dla warstwy sensacyjnej. Jeśli ktoś nie zainteresował się sprawą „rewolucji kulturalnej” w Chinach i nie z tego powodu sięgnął po książkę, to zainteresuje się nią już choćby tylko ze względu na sensacyjną akcję, na walkę szpiegów.

Drugi zabieg jest jednak bardziej istotny. Stanisław Głąbiński „rewolucję kulturalną” w Chinach pokazał oczyma cudzoziemców, a także poprzez ich udział w niej. Bariera językowa oraz bariera tradycji i kultury, jakie innych z europejskich, powoduje, że Chiny są ciągle krajem niezrozumiałym, niepojętym. I dlatego bardzo dobrze, że te Chiny z roku 1966 widzimy oczyma Europejczyków. To nadaje większą autentyczność akcji powieści i pozwala lepiej zrozumieć to, co o „rewolucji kulturalnej” chciał nam powiedzieć autor „Roku Pionącego Konia”.

Przypadek już zrzadził, że teraz — po śmierci Mao Tse-tunga i w okresie krytyki „czterosobowej bandy” — „publicystyczna i reportażowa” warstwa powieści nabiera innego znaczenia, staje się jakby komentarzem do tego, co się obecnie dzieje w Chinach, pozwala zachować tam procesy lepiej rozumieć, widzieć je w trochę innym świetle.

Stanisław Głąbiński — „Rok Pionącego Konia”, Książka i Wiedza, Warszawa — 1976, str. 280, cena: zł 25,-

KIM BYŁ MARTIN BORMANN?

Wśród licznych zagadek drugiej wojny światowej na czoło wysuwa się tajemnicze zaginięcie „osobistego sekretarza Führera” — Martina Bormanna. Do dziś właściwie wiadomo, co stało się z Martinem Bormannem w czasie próby przebiecia się przez pierścionek wojsk radzieckich. Ludzie zajmujący się tą zagadką opisali nawet drogę, jaką Martin Bormann przebył, aby wydostać się w lasach Południowej Ameryki, gdzie ponoć przebywał do dzisiaj. Ale są też i inni, którzy twierdzą, że zginął on w czasie potyczki z radzieckimi żołnierzami, którzy rozbili uciekającą grupę hitlerowców.

Lew Bezymienski od dawna zajmuje się Martinem Bormannem. Stwierdził on, że to nie do końca jest tajemnicą. Odnalazł on też notatki Martina Bormanna z 1945 roku, zakończony lakonicznym zapisem: „I maja. Próba przedarcia się. Notatki pełne jest takich zapisów. Jest to coś w rodzaju terminu, w którym „osobisty sekretarz Führera” robił sobie notatki o tym, co w każdym dniu wydawało się jemu lub w jakich wydarzeniach brał udział. Na przykład: „Sobota, 3 lutego. Przed południem silny nalot na Berlin... Walki o przeprawę na Odrze.”

Wtorek, 6 lutego. Urodziny E. B. 13.45 rozmowa z drem Goebbelsem, drem Lammersem + M. B. Wieczorem Kattenbrunner u M. B.”

„E. B.” — to oczywiście Ewa Braun, a „M. B.” — to on sam — Martin Bormann, gdyż w całym notatniku ani razu nie napisał o sobie „ja”, tylko zawsze „M. B.”. Ten notatnik, znaleziony w Berlinie, posłużył Lwowi Bezymienskiemu do interesujących rozważań o jego właścicielu i autorze. Przede wszystkim żmudne badania potwierdziły, że jest to z całą pewnością notatnik Martina Bormanna, chociaż bardzo trudno było ustalić okoliczności, a jakich został znaleziony. Lew Bezymienski, który sam był uczestnikiem walk w Berlinie, dotarł do innych, którzy w tych walkach brali udział i zetknęli się z okolicznościami odnalezienia notatnika. Posłużył się też wieloma dokumentami, na podstawie których odtworzył atmosferę tragicznych czasów drugiej wojny światowej i pokazał istotę faszystwu w jego hitlerowskim wydaniu. I to w tej książce jest najistotniejsze.

Lew Bezymienski zastrzega się, że nie pisze życiorysu Martina Bormanna. W ogóle Martin Bormann i jego notatnik są pretekstem do analizy hitlerizmu, a sam Martin Bormann niezależnie od tego czy żył, czy zginął w Berlinie i maja 1945 roku, jest potraktowany jako „muzealny okaz” hitlerizmu. Lew Bezymienski na kartach „Ostatnich notatek Martina Bormanna” nie szuka odpowiedzi na pytanie, co stało się z Martinem Bormannem? Szuka natomiast odpowiedzi na zupełnie inne pytanie: kim był Martin Bormann? I ta odpowiedź daje rysy dokładny portret czasów, których doświadczył i rezultatem był ten „muzealny okaz”, a wówczas „osobisty sekretarz Führera”, człowiek, który trząsał Kancelarią Rzeszy i decydował kto i kiedy może wejść do Adolfa Hitlera i miał ogromny wpływ na losy Niemiec, chociaż zawsze pozostawał w cieniu.

Niezależnie od tego, co stało się z Martinem Bormannem i maja 1945 roku, warto przypomnieć jedną rzecz. Otóż dziś, jeśli istotnie żyje w lasach Południowej Ameryki, ma już 77 lat, a jego najstarszy syn — Adolf — Martin — jest dziś starszy od swego ojca, który i maja 1945 roku podał sobie przedarcia się przez pierścionek wojsk radzieckich. Warto pamiętać o tych faktach, aby uświadomić sobie, że dla każdego nowego pokolenia tamte tragiczne czasy są już tylko historią i powinny nią zostać. Właśnie takiemu celowi ma służyć również i książka Lwa Bezymienskiego, ukazująca prawdę o hitleryzmie. Jest to prawda okropna, o tym, co wydarzyło się i maja 1945 roku w okropnym Berlinie.

L. W.

Lew Bezymienski — „Ostatnie notatki Martina Bormanna”, przełożył: Edward Holyński, Czytelnik, Warszawa — 1976, str. 266, cena: zł 25,-

WARTO PRZECZYTAĆ

1. Andrzej Wilczkowski — Każdemu według marzeń WL 1976, str. 40,-
2. Piotr Wojciechowski — Czaszka w czasie. PIW 1976, str. 32,-
3. Helena Adamczewska — Berlińskie ABC. Iskry 1976, str. 30,-
4. Władysław Czapiński — Polska a Dania XVI-XIX w. Studia. PWN 1976, str. 59,-
5. Filozofia i współczesna biologia. — Pod redakcją I. T. Frołowa. KIW 1976, str. 70,-
6. Tadeusz Olszański — Budapeszteńskie ABC. Iskry 1976, str. 30,-

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

A TO CI SZOPKA!

Po kilkunastoletniej przerwie znów szopka w „Odgłosach”! Z tej okazji paru słów na szopkowy temat. Jest to — jak wiadomo — jedna z form teatru ludowego, widowiska związanego ze świętami Bożego Narodzenia. Szopki, czyli jasełki wystawiane były przez teatry przykościelne i przykasztońskie i jest to forma bardzo stara. Niezawodny jak zawsze Jędrzej Kitowicz w swoim „Opisie obyczajów” przyznaje, iż nie wie, kiedy szopki nastały w Polsce. A przecież Kitowicz spisywał swoje dzieło w końcu wieku osiemnastego i już wówczas szopka była tak stara, że uczono proboszcz z Rzeszycy nie mógł określić jej źródeł.

Początkowo dominowały w niej treści religijne, ale... Pisał Łukasz Gołębiowski w pierwszej połowie wieku XIX, że „sceny i deklamacje nadto silnie wzbudzały śmiech, unięśnienia radości, hałasy a czasem bywały gorsze, przychodziło do tego, że zgromadzenie i pokazujących sztuki roznosiło stłupy kościelne”.

Do szopek wprowadzono bowiem — oprócz Trzech Króli, Jezusa, Diabła i Anioła —

także postacie ze świata rzeczywistego — szynkarza, wójta, ekonoma, dziewczki służebne i żołnierzy, żaków i działołw proszanych. Z informacji Gołębiowskiego na temat „rozganiiania zgromadzenia i pokazujących sztuki” wynika, że już wówczas szopki zawierały akcenty satyryczne.

I tak już zostało. Ukształtowana na początku XX wieku szopka literacka żywiła się głównie satyrą i parodią rzeczywistych spraw i ludzi. Do legendy zatem przeszły szopki „Zielonego Balonika” pisane przez Boya, potem w dwudziestolecie słynne były szopki „Pikadora” pisane przez Świątopelkę Karpińskiego, Janusza Minkiewicza, Juliana Tuwima, Antoniego Słonimskiego...

Szopka doczekała się dysertacji naukowych także. Dr Ryszard Wierzbowski poświęcił jej wnikliwe studium, którego fragment znalazłem w „Zeszytach Polonistycznych”, z roku 1965. O dr Wierzbowskim będzie tu jeszcze mowa, zanim bowiem zajął się on działalnością naukową... ale o tym za chwilę.

Słynne były, jak się rzekło, krakowskie szopki „Zielonego

Balonika” i warszawskie „Pikadora”. Łódź aż tak znakomitych przykładów nie ma, ale i tu na początku wieku sięgano do tej formy. Otóż w 1907 roku z drukarni Stanisława Książka wyszła znamienna „Szopka na tle stosunków łódzkiej doby ostatniej”. Była to broszura licząca 16 stron, napisana przez Stanisława Czajkowskiego ukrywającego się pod pseudonimem „Szczerzy”. Spore fragmenty owej łódzkiej szopki przypomniał dr Janusz Dunin w swojej książce „W Bi-Ba-Bo i gdzie indziej”.

Szopka Czajkowskiego, to — jak pisze Dunin: „Pierwszy na terenie Łodzi utwor zamierzony jako dramatyczna satyra społeczna, choć otwierają ją konwencjonalne, sielankowe strofy koledników”.

Forma szopki jest dość pojemna, można w jej ramach zmieścić wiele. Szopką jest „Bedeem polskie” Lucjana Rydy z 1905 roku i szopką są niektóre stylizacje Ernesta Brylla z lat siedemdziesiątych.

W Łodzi, w końcu lat pięćdziesiątych najgłośniejszą i zapewne najlepszą szopką była „Kontrabanda”, wystawiona przez Teatr Nowy. Autorem jej

był zupełnie wówczas nieznany, młody autor, Ryszard Marek. Dziś wiadomo, że to pseudonimem spółki autorskiej dwu ówczesnych, studentów UL. Nazwisko pierwszego brzmi: Marek Groński — dziś znany pisarz, satyryk i historyk polskiego kabaretu, nazwisko drugiego — Ryszard Wierzbowski, tak jest — ten sam, autor studium o dziejach szopki, pracownik naukowy Uniwersytetu Łódzkiego.

Przedstawiony dziś Czytelnikom „Odgłosów” tekst „Łódzkiej szopki kulturalnej” jest skromną próbą zmierzenia się autora z ową starą i szacowaną formą literacką. Rzecz udała się autorowi średnio, daleko lepiej wyszła jej realizacja radiowa w reżyserii Romany Mater i w opracowaniu muzycznym Janusza Kazimierzaka. Ale uważaliśmy, że z braku szopek na łódzkim rynku warto ją utrwalić. Mimo wszystko jednak ten tekst mówi trochę o sprawach dziejących się na kulturalnym podwórku Łodzi. Jedno jest pewne — akcentów satyrycznych w niej tyle akurat, żeby nie zasła konieczność „rozgromienia zgromadzenia”.

WIDOK

LEVYM OKIEM

MICHAŁKI

„Dziennik Popularny” podał niedawno wiadomość, jakoby psychiatrzy amerykańscy uznali niewierność małżeńską za chorobę, która zalecała leczyć metodą Pawłowa, czyli wdrażaniem pacjentów odpowiednich odruchów warunkowych. Jak wiadomo, Pawłow podawał psom pożywienie dzwoniąc jednocześnie takim dzwonkiem, jak przesił na konferencjach. Psom leciała ślinka na widok pożywienia, ale to pożywienie tak się skojarzyło z dzwonkiem, że później ślinotok występował także na sam dźwięk dzwonka, nawet gdy nie do schrupania nie było. To był właśnie odruch warunkowy.

Otóż psychiatrzy zaa oceanu radzą posadzić niewiernego męża przed ekranem i pokazywać mu jego przyjaciółkę — aplikować nieszczesnemu jednocześnie bardzo nieprzyjemne wstrząsy elektryczne. Oczywiście — widok żywej przyjaciółki powinien się później skojarzyć natychmiast z wrażeniem przykrości, spowodowanej wstrząsami, i gość zwiędłałby od swej flamy gdzie pieprz rośnie. Natomiast tenże ekran pokazuje mężowi jego słubną a skrzywdzoną połówkę

— i w tych momentach rozbrzmiewa piękna, kojąca muzyka. Nie muszę już tłumaczyć ciągu skojarzeń, które uczynia z żony samą harmonię i pieśń.

Na ogół podejrzewam, że tego typu sensacje naukowe rodzą się w wyobraźni samych dziennikarzy, specjalizujących się w „michałkach”. Jeżeli jednak naprawdę ktoś gdzieś pomyślał o cytowanej wyżej kuracji przeciwdziałającej to warto by mu — owoemu „amerykańskiemu psychiatrze” — zadać parę dodatkowych pytań.

Przed wszystkim małż, zanim zasiądzie przed psychiatrycznym ekranem, należy już pewnych odruchów warunkowych, nieprawdopodobnie silnych. Na przykład sama myśl o żonie kojarzyć mu się z awanturą, złością, nieporządkiem i przypaloną kaszą, a myśl o tej drugiej — z czymś bardzo ale to bardzo przyjemnym. A dla dzieci niedozwolonym. Żeby doprowadzić do wykształcenia się nowych skojarzeń, należałoby najpierw wykorzystać te pierwsze, silniejsze, chociaż powstałe bez ekranu i bez elektryczno-muzycznych rekwiwytów;

jak to zrobić — psychiatrzy nie mówią.

Nie mówią także, w jaki sposób skłonić romansowego gościa do wizyt przed ekranem. Jeżeli przychodzi sam z własnej woli, to znaczy, że flirt mu się i tak sprzykrył i — jeżeli traktować go jako chorobę — organizm już ją zwalczył, a lekarz nie ma tu co robić. Jeżeli sam nie przychodzi, to jak: sprowadzić go przez polię? Wtedy odruchy warunkowe w stosunku do żony i do instytucji małżeństwa mogą się stać groźne i nieuleczalne. A co się stanie jak gość przyjdzie, ale każe sobie puścić film w odwrotnym porządku: jak żona — to elektrowstrząsy, jak przyjaciółka — to Dźwięka Symfonia?

Lepiej było trzymać takie wynalazki pod korek i nie wywołać złego ducha. A skoro mowa o mężach i żonach, popołudniu jeszcze o tych rzeczach. W Księdze Rodzaju (Genesis 3:16) Jehowa mówi do Ewy, wskazując Adama: „On ma być twoim panem”. Po niemiecku to brzmi: „Er soll dein Herr sein”. Ale w pewnym egzemplarzu biblij raższa omyłka drukarska i zamiast „Herr” wydrukowano „Narr”. Wyszło z tego: „On ma być twoim durniem”. Cały ów egzemplarz biblij przewano od tego błędu „Biblia głupców”, a znajduje się on podobno w bibliotece

uniwersyteckiej w Getyndze. A może jest to taki sam michełek, jak rewelacja o leczeniu niewiernych mężów. Natomiast wiadomością całkiem serio, opartą na statystyce, jest informacja, że przestępczość kobiet wzrasta o wiele szybciej niż przestępczość mężczyzn. W Republice Federalnej Niemiec obliczono, że gwałcenie prawa przez kobiety wzrosło w ciągu roku o 539 proc., a przez mężczyzn „tylko” o 250 proc. W drobnych kradzieżach wzrost w damskiej połowie ludności wyniósł 175 proc., w męskiej „tylko” 36 proc. Nawet szantaż — chętniej mają się panie niż my — słaba pięć. Dogańia nas babki w zawrotnym tempie a na niektórych zakrętach — jak widzimy — przerażają. Co będzie, jak tak pójdzie dalej?

Ja nie mówię, że się zgadzam z pewnym młodym człowiekiem, ale zacytuje jego odpowiedź na ankietę „Kobiety i Życia” na temat własnej przyszłej rodziny: „Moja rodzina będzie nowoczesna, to znaczy ja będę pracować, a żona będzie wychowywać dzieci i prowadzić miły dom. W tradycyjnej rodzinie mąż i żona pracowali, a dzieci się frustrowały i pacyły”.

CWIEK

PROPOZYCJE

WARTO POLUBIĆ MUZYKĘ

W jednym z miasteczek nad Morzem Śródziemnym zawsze w południe rozlegał się strzał armatni. Wtedy zegarmistrz regulował w swoim sklepie zegarki. Ktoś ciekawo zapytał go kiedyś, skąd kanonier stosownego działu wie, kiedy jest południe? — Jak to? — zdziwił się zegarmistrz. — Przecież przejeżdża do mnie i pyta, która godzina? Po tem jedzie rowerem na górę i strzela. A ja wtedy reguluję zegary według strzału.

Przypomniała mi się ta historia, kiedy w południe 26 grudnia 1976 roku obejrzałem sobie kuchnię południowego sygnału czasu. Pokazała to telewizja i sadzę, że wiele osób śmiało się wówczas serdecznie. A śmiało się dlatego, że podobnie jak i ja sądziłem, że całe to południowe buczenie uruchamiane jest przez niezwykle skomplikowaną i bardzo dokładną aparaturę. A tu nie z tego — pokazuje telewizja i widzę, jak realizatorzy tego reportażu figlarnie mrużą oko. Wszystko robi się ręcznie. Nawet zegar na wieży kościoła Mariackiego w Krakowie też bije dzięki ręce strażaka, która wprawia w ruch mechanizm.

Do południowego, dokładnego sygnału czasu już przyzwyczailiśmy się i wydawało się nam, że działa tu wiele skomplikowanych aparatów, co też jest oczywiście prawdą, ale telewizja pokazała nam kuchnię astronomów

na od innej strony i zrobiła dobrze, bo uzmysłowiła nam, że dobrze jest wiedzieć a nie opierać się tylko na wyobrażeniach.

A wiedza nieustannie idzie naprzód. To, czego nauczyliśmy w szkole szybko się starzeje. Wymaga nieustannego uzupełniania. Trudno jest nieprzerwanie śledzić postęp wiedzy we wszystkich jej dziedzinach, ale warto od czasu do czasu sięgnąć po aktualne publikacje popularno-naukowe, aby przypomnieć sobie o rzeczach starych i dowiedzieć się o nowych. Właśnie „Wiedza Powszechna” wydała po raz drugi „Fizykę popularną” Friedricha Katschera, która to wydanie zostało poprawione. Książka nosi bardzo znamienne podtytuł: „Zarys współczesnej fizyki w świetle najnowszych badań”. A zatem słusznie postąpił wydawca, że nie powtórzył tylko wydania pierwszego, ale je uzupełnił. Wydanie pierwsze rozeszło się już dawno i ostatnio nawet w antykwariatach trudno było znaleźć egzemplarz „Fizyki popularnej”.

„Nauka jest często również ciekawa i intrygująca — jak dobra powieść kryminalna” — zachęca czytelnika „Wiedza Powszechna”. We wstępie. Ale myślę, że nie tylko sensacyjność wielu odkryć naukowych powinna intrygować czytelnika. Austriacki popularizator Friedrich Katscher potrafi zainteresować czytelnika, odkry-

wając mu w niezwykle prosty sposób tajemnice mikro i makro świata. W natłoku informacji atakujących współczesnego człowieka wiele jest takich, o których wydaje się nam, że wiemy co znaczy, ale w zasadzie nie bardzo znamy ich istotę. Dlatego warto czasem sięgnąć po popularne objaśnienie zjawiska i poznać je głębiej, a wiedza okazać się być moce, że wiedzieliśmy bardzo mało, a bardzo dużo się nam tylko zdawało.

Często powtarzanym słowem jest na przykład laser. Pierwszy laser zbudował Amerykanin T. H. Maiman w 1961 roku, a w 1964 roku B. M. Wuł w ZSRR — pierwszy laser półprzewodnikowy. Ale teoretycznie podwaliny pod te osiągnięcia stworzył na wiele lat przedtem Albert Einstein. I oto laser stał się instrumentem pozwalającym na dokonywanie operacji, które do tej pory były niemożliwe. Dzięki promieniowi laserowemu udało się zmierzyć odległość Księżyca od Ziemi z dokładnością do centymetrów. Lasery stosuje się w chirurgii, na przykład przy przeklepaniu siatkówki oka, ale — jak twierdzą aceni — laserem można będzie spawać szklivo zębów, chroniąc je w ten sposób przed próchnicą. Jest to możliwe, ale bardzo drogie i dlatego nierzadko nam jeszcze konieczność korzystania z tradycyjnej wiertarki. Laserem można wiercić

otwory w bardzo twardych materiałach. Czy to pożyteczne? Urządzenie może stać się groźnym? Czy laser to nie owe, wymarzone przez jaskółczych, „promienie śmierci”?

Amerykański tygodnik „Newsweek” sugerował, że amerykańskie satelity szpiegowskie zostały „osłupione” promieniami radzieckich laserów. Władze wojskowe USA oficjalnie temu zaprzeczyły, ale „Newsweekowi” wcale to nie przeszkodziło, aby roztoczyć przed czytelnikami perspektyw „laserowej wojny” w... Kosmosie. Wprawdzie obecnie nie ma technicznych warunków, aby można było wynieść urządzenie laserowe w przestrzeń kosmiczną, jako, że będzie on tam bezużyteczny z powodu braku wielkiej ilości energii elektrycznej potrzebnej do jego uruchomienia, ale znane już są „lasery chemiczne”, które nie wymagają tak wielkiej energii, a dają impulsy o mocy 200 miliardów watów zupełnie wystarczających do wyparowania metalu.

Podobne publikacje nie zawsze służą popularyzacji nauki. Czasem są potrzebne, aby odpowiedzieć na pytania wyasygnowały odpowiedniej sumy na zbrojenia. Niemniej warto wiedzieć nie tylko, że są lasery, ale i coś więcej o nich, bo mimo wszystko wierzę w zdrowy rozsądek ludzi i w to, że nauka wiecieć da nam pożytku niż przyniesie szkoda.

MARCIN RÓDAK

Kaprysy bogów są nieobliczalne; Zeusowi przyszło nagle do głowy, aby Herakles raz jeszcze wykonał dwanaście swoich słynnych prac, lecz tym razem w Polsce. Zstąpił tedy nasz heros z mglistego Olimpu i jako poddany króla Eurysteusa rozpoczął od nowa swe dzieło:

LEW Z NEMEI

Król Eurysteus — jak wiemy z mitologii — kazał przynieść Heraklesowi lwa z Nemei, bestię wyjątkowo niebezpieczną i okrutną. Tym razem był jednak lew nie z Nemei, lecz z ogrodu zoologicznego. Herakles zaopatrzony w swą niezawodną maczugę zatrzymał się przed bramą ogrodu i przeczytał napis następujący:

**DZIŚ ZOO NIECZYNNIE
Z POWODU DERATYZACJI
PT KLIENTÓW
BARDZO PRZEPRASZAMY
DYREKCJA**

Odszedł więc nasz bohater spod bram ogrodu pokonany przez deratyzację.

HYDRA LERNEJSKA

Był to potwór nie do pokonania — na miejsce jednej uciętej głowy, odrastały natychmiast trzy nowe. Tym razem Herakles miał pokonać hydrę biurokracji, która rozpanoszyła się w Centralnym Zarządzie Wytwórczości Różnej. Niestety, na miejscu każdego usuniętego wicedyrektora, pojawiała się natychmiast trzech jego nowych następców, a ci z kolei pączkowali głównymi księgowymi. Po wycięciu w pięć 20 wicedyrektorów i 60 głównych księgowych Herakles po krótkiej konsultacji z personalnym opuścił biura Zarządu.

LANIA CERYNTYJSKA

Był to piękny zwierz ze złotymi rogami i racicami ze spi-

żu. Mówiono Heraklesowi, że widziano ją ostatnio w lasach białostockich;

— Lania ceryntyjska? — zamysłił się nadleśniczy z Knyżyna?

PTAKI ZE STYMFALOS

W lesie koło ośrodka wypoczynkowego żadnych ptaków nie było już od dawna — wy-

udał się do sklepu pasmante-ryjnego nr 18. — Pas Hipolity? — zastanowiła się leniwie ekspedientka. Nie mieliśmy już od pół roku tego asortymentu. Niech pan zapyta w PEWEX-ie! A poza tym nie widzi pan, że piję herbatę?

WOŁY GERIONESA

Tym razem w Punkcie Skupu Zwierząt był wagowy, ale nie było magazyniera, który pojechał po podkładkę.

ZŁOTE JABŁKA

Kiedy Herakles zaszedł do spółdzielni ogrodniczej po złote jabłka, kierownik spojrzał nań jak na wariata: — Przy takiej kłesce urodzaju zachcie- wa się jeszcze panu złotych jabłek? I odważył mu kilo- gram robaczywych odpadów.

— A po złote jabłka — dodał na pożegnanie — niech pan idzie do prezesa. Może panu trochę odstąpi z własnych za- pasów.

CERBER

Kompletnie zalamany tymi wszystkimi niepowodzeniami Herakles, postanowił pójść coś przekąsić do nocnej knajpy.

— Skóra ze lwa jeszcze by uszła — oświadczył opasy cerbera w drzwiach, ale bez krawata pana nie wpuszcza.

Kiedy nie pomógł obol dyskretnie wsuwany do łapy cerbera, Herakles nie wytrzymał i dał mu po mordzie.

Nazajutrz stanął oczywiście przed kolegium do spraw wy- kroczzeń.

— Czy obwiniony przyznaje się do czynnego znieważenia cerbera? — zapytał surowo przewodniczący kompletu orze- kającego.

— Przyznaję się — wymamrotał Herakles — ale...

Otóż, Drodzy Czytelnicy, bez żadnych „ale”!

Po zapłaceniu grzywny He- rakles wrócił z ulgą na Olimp, a wy wszyscy, (łącznie ze mną), musicie wykonywać nie dwanaście prac — jak Hera- kles — lecz jedną. I wykony- wanie tej jednej pracy nie jest żadnym bohaterstwem. Nie bierzcie się więc zbyt ochoco- za dodatkowe prace zlecone! Nec Hercules contra plures.

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

DWANAŚCIE PRAC HERAKLESA

BYK Z KRETY

W Punkcie Skupu Zwierząt nie wydano niestety byka He- raklesowi, ponieważ wagowy był zalaný w drobny mak.

KLACZE KRÓLA DIOMEDESA

Tym razem w Punkcie Sku- pu Zwierząt wagowy był na chorobowym.

— Po klacze proszę przyjąć za tydzień — warknął maga- zynier i zatrzaskał okienko.

PAS HIPOLITY

Po pas Hipolity, dzielnej królowej Amazonek, Herakles

DZIK Z ERYMANTU

Z dzikiem stało się oczywiście to samo, co z lanią ceryntyjską, znowu więc nasz boha- te: nie wywiązał się ze swego zadania.

STAJNIA AUGIASZA

Kiedy Herakles zobaczył za- budowania tego PGR-u, zaraz się domyślił, że tu właśnie od- najdzie stajnię Augiasza. Ale dyrektor mgr inż. Augiasz nie chciał z nim rozmawiać. — By- li tu nie tacy bohaterzy jak



Foto: Archiwum

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

ROZBITEK

Okrzyk: — Człowiek za bur- tą! przygnął prawie wszystkich pasażerów w okolicy rufy, skąd najlepiej było widać coraz wy- raźniejszy kształt uczonego dwóch desek rozbitka. Płynął resztką sił, może stracił przy- tomność, w każdym razie nie reagował na nasze znaki i sy- gnały. Szalupa ratunkowa była już opuszczona i czterech rosy- łych marynarzy szybko pociąg- nięto wioślarzami kłopotliwie dzieląc ich od mężczyzny. No, nareszcie — odetchnęliśmy z ul- gą, gdy znalazł się w łodzi.

I znowu życie wróciło do nor- my. Śniadanie, spacer, kapiele słoneczne, obiad, znowu spacer — z góry ustalony rytuał, całe dnie odliczane godzinami posił- ków i gaszeniem bądź zapala- niem światła. Uratowanie roz- bitka było atrakcją tylko przez kilka godzin — później wszy- scy wrócili do swych zajęć i roz- rywek. Zresztą nie było znowu tak wiele do oglądania — kra- ówco wyczerpanego faceta za- brał natychmiast lekarz do okre- towego szpitala, gdzie wlewał w niego ożywcze mikstury i za- pewne szprycował zastrzykami. Razem z dwoma bliźniakami nerwowo paliliśmy w kącie ma- lego salonu. — Ja myślę, że gra — rzucił młodszy bliźniak z na- dzieją w głosie — przynajmniej na takiego mi wygląda. — Ten rudy spod 46-ki też ci „wy- glądał” — mruknąłem — i co? Poczekajcie trochę, jak go le- karz postawi na nogi — sam zapytam.

Chyba że cztery godziny czu- waliśmy na zmianę w pobliżu drzwi doktora. Wreszcie klam- ka drgnęła, wyszli obaj na ko- rtyarz — lekarz podtrzymał pod pachę ubranego w ciepły szlafrok niedawnego rozbitka. Ten wyglądał nieszczerze — błądy, podkrążone oczy, błędny krok. Pewnie musiał wypić z pół oceanu nim go wyciągnęli- my. Szedłem za nim go wyciągnę- my. Szedłem za nim go wyciągnę- my. Szedłem za nim go wyciągnę- my.

Miałem samą „bryndzę” — delikatnie strzeliłem dwa tref- le. Młodszy bliźniak z kamie- tną twarzą syknął: — dwa pi- ki. Błądy jakby pobladł jeszcze bardziej, ale nie zwróciłem na to uwagi. Myślałem byłem już da- leko — rozważałem wszelkie możliwości ataku i obrony. Starszy bliźniak jak zwykle miał „plotki”, ale jak zwykle dumał prawie pół godziny. Wre- szcie jęknął: trzy karo. Łomot padającego krzesła wyrwał mnie z zadumy. Błądy, tym razem rzeczywiście jak papier, skoczył do drzwi, szarpnął za klamkę i głosem pełnym przerażenia wymamrotał: panowie, ja pa- suję, albo lepiej nie gram w o- góle — na tamtym statku licy- tacja rozpoczęła się identycznie!

HORACY SAFRIN

BAJKI AKTUALNE

WILK — ANTYRASISTA

Wilk — folwark odwiedzając w dniu jakiegoś święta — stwierdził z ubolewaniem, że stajnia zamknięta. Porwał więc małą psinę, leżącą pod progiem, a uciekł przed ogromnym angielskim buldogiem. „Dlaczego go puściłeś wolno?” — pyta kania. „Nasz kodeks prześladowań r a s o w y c h zabrania!”

ZDOBYWCA KOSMOSU

Stary kogut pouczał rodzinę: „Czy wiecie, ile prawdy tkwi w klechdzie o pewnym szlachcicu? To antenat nasz — pierwszy kosmonauta w świecie — na grzbiecie, wzbil się w niebo — i osiadł miękko na księżycu...”



Foto: Archiwum